



WARSZAWA, 6 CZERWCA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Lekceważony zawód—H. C. Zdolność kobiet do pracy zawodowej. Nieznany autograf Narcyzy Żmichowskiej p. t. „Dwoiste Życie“ (c. d.)—z autografu wydała—Zofia Szmydtowa. Świat Kobiecy (część II)—Marja Grossek-Korycka. Kwiat moreli—Teresa Sapieżyna. Oshidori—Lascadio Hearn (tłom. Zofia Rościszewska). Idylla na Arktyku—Juliusz Wirski. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—Wanda Młazewska. Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina bractawska (c. d.)—Dr. W. L. Piękna Pamela (c. d.)—Karolina Bielańska. Z cyklu sylwetek—C. Walewska. Z powodu książki Wacława Husarskiego p. t. „Malarstwo Nowoczesne“—N. Samotyhowa. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Obrazek—al. Prace naszych kobiet w Roczniku pedagogicznym—I. W. K. Z książek. Z teatrów—p. Dział praktyczny: Mody i roboty. List z Paryża—Sekwa. Panowanie antyku—Spero. O listach—J. S. Parę gier w piłkę, odpowiednich dla starszych dzieci.—I. Fabrycowa. Pielęgowanie włosów.—Dr. med. Julja Świtalska. Czerwiec w ogrodzie—R-ska. Obiady na maszynie—Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie—Pani Elżbieta. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Komunikat Biura Prasowego dla Spraw Kobięcych. Dodatek powieściowy „Okręty, które płyną wśród nocy...“ (c. d.)—Beatrix Harraden ARKUSZ WZORÓW.

LEKCEWAŻONY ZAWÓD



U nas wszystkiemu dać musi aprobatę... literatura. Zawód nauczycielki ludowej wyidealizowała „Siłaczka“, wyidealizowały powieści Sewera i innych, więc zawód ten w opinii społeczeństwa stoi wysoko, a kobiety ze sfer np. proletariatu miejskiego uważa ją, że zawód nauczycielki ludowej podnosi je na drabinie społecznej o wiele, wiele stopni.

Inaczej z pielęgniarką!

Do niedawna społeczeństwo nasze znało tylko, albo piastunki, stojące na poziomie intelektualnym i kulturalnym jaknajniższym, albo w razie wojny — pielęgniarki—ochotniczki, rekrutujące się ze wszystkich, nawet najwyższych sfer, ale niewykwalifikowane i skutkiem tego często — raczej szkodliwe niż pożyteczne.

Zawód pielęgniarki jest u nas zjawiskiem, względnie nowem i dużo czasu jeszcze upłynie, nim zapotrzebowanie społeczne na wykwalifikowane zawodowo pielęgniarki zaspokojone zostanie w całej pełni.

Zresztą nie tylko u nas tak jest, ale i w Stanach Zjednoczonych, jakkolwiek pod względem przygotowania zawodowego pielęgniarek służą nam one za wzór. W r. 1920 było tam wykwalifikowanych pielęgniarek 11 tysięcy, a potrzeba ich 50 tysięcy.

U nas, jak stwierdzono na Zjeździe Komitetu przysposobienia kobiet do obrony kraju, w razie wojny, na pierwszy moment mobilizacji potrzeba

10 tysięcy wykwalifikowanych pielęgniarek, a mamy ich aż... 700.

Ale nie mówmy o wojnie.

Mówmy o czasach normalnych.

Sfery kompetentne obliczają, że na potrzeby życia pokojowego nie będzie zbyt wygórowaną liczba 15 tysięcy pielęgniarek.

Z braku ich nie funkcjonuje dotąd mnóstwo niezbędnych dla zdrowia publicznego instytucji. Z braku ich ustawy sejmowe nie mogą wejść w wykonanie. Tak np. Ustawa o ochronie pracy kobiet, której jeden z paragrafów wkłada na właściciela przedsiębiorstwa, zatrudniającego ponad 100 kobiet, obowiązek urządzenia żłobka. W żłobku tym mają matki — robotnice, przychodząc do pracy, zostawiać swoje niemowlęta, zachodząc do nich w godzinach karmienia, schodząc z roboty, zabierając je ze sobą. To urządzenie tak racjonalne, tak słuszne ze względu na bezpieczeństwo i zdrowie niemowląt, tak ułatwiające życie robotniczy, nie może dotąd stać się faktem z braku wykwalifikowanych sił pielęgniarskich. Albowiem pielęgniarka jest duszą takiej instytucji. Gdzie niema inteligentnej doskonale rozumiejącej swoje zadanie i sumiennej pielęgniarki, tam żłobek stać się musi nie schronieniem dla niemowląt, a rozsądnikiem zaraźliwych chorób i pomnożycielem śmiertelności wśród dzieci. Dlatego Ministerstwo Pracy i Op. sp. nie wydało dotąd rozporządzeń wykonawczych do tego paragrafu Ustawy i nie prędko wydać je będzie mogło.

Ale nie tylko dla matki — robotnicy potrzebny jest żłobek. Kobiety z inteligencji, pracujące zawo-

dowo, a takich jest coraz więcej i cokolwiekby o tem mówiono, coraz więcej będzie, oglądają się już z największym niepokojem za jakąś instytucją, której, na czas pracy, powierzyćby mogły swoje maleństwa. W urzędach, zatrudniających po kilkadziesiąt kobiet z inteligencji np. w urzędach pocztowo-telegraficznych, niezbędnem jest już dziś zorganizowanie żłobków. Pielęgniarki wykwalifikowane zawodowo potrzebne są tembardziej tym matkom, które pracując pojedynczo lub po kilka, liczyć nie mogą na założenie żłobka przez pracodawcę, które muszą i mogą domowej pielęgniarki powierzyć dzieci, lub pragnęłyby zostawić je w jakimś, żłobku ogólnym, będącym instytucją państwową, czy komunalną, czy społeczną. Ale takich instytucji niema. A to co jest ma charakter raczej filantropijny i w matce inteligentce nie budzi zaufania.

Poza tem społeczeństwo nowożytnie potrzebuje fachowych opiekunek zdrowia, któreby w każdej, najbardziej od centrów oddalonej miejscowości, szerzyły zasady higieny, przestrzegały porządku i czystości, czuwały nad dezynfekcją mieszkań prywatnych, zapobiegały szerzeniu się epidemii itd.

Potrzeba pielęgniarek do instytucji takich, jak Poradnie dla gruźliczych, Krople mleka, Poradnie dla matek itd. itd.

Nie mówimy już nawet o zapotrzebowaniach szpitali, sanatoriów, zakładów dobroczynnych, zakładów leczniczych, letnisk itd. itd.

Mimo, że w pielęgniarstwie specjalizują się pewne Zakony (szarytki, służebniczki itd.) brak pielęgniarek w Polsce daje się odczuwać na każdym kroku.

A jednocześnie, tyle kobiet poszukuje pracy, tylko kobiet z powodu braku jej ginie śmiercią samobójczą, albo rzuca się z nędzy w odmetę, mniej lub więcej zamaskowanej prostytucji!

Do szkół pielęgniarstwa niema natłoku kandydatek.

Szkół tych jest oczywiście za mało, ale i w tych, które są, nie odczuwa się przepełnienia.

Mniemaćby można doprawdy, że pielęgniarstwo jest zawodem dla kobiety nieopowiadającym. Niewątpliwie zawód to ciężki i niekiedy przykry, wymagający, tkwiących głęboko w duszy, pokładów altruizmu. Ale któryż zawód nie nastroja swoistego rodzaju przykrości, któryż nie wymaga trudu i pewnego rodzaju ofiary z siebie i przewyciężenia wrodzonych wstrętów?! Czy lepszą jest bezduszną, monotonna, ogłupiająca wprost, praca urzędnicza? Czyż zawód nauczycielki nie wyczerpuje sił ducha i ciała, nie denerwuje, nie nuży?

Pielęgniarstwo, traktowane na sposób nowożytny, przy zastosowaniu krótszych i dłuższych odpoczynków, przy odpowiednich warunkach higienicznych nie wyczerpuje bardziej sił, niż każdy inny zawód, a jest pracą żywą, dającą naturom altruistycznym stokroć więcej zadowolenia, niż mechaniczne zajęcie fabryczne, niż bezmyślne i beztreściwe pisanie na maszynie, niż wszelkie roboty manipulacyjne. Śmiało powiedzieć można, że zawód ten odpowiada bardziej naturze kobiety niż wiele innych rodzajów pracy zarobkowej, do których pogarnęły się w ostatnich czasach niezliczone rzesze kobiet. Koniecznem jest, by do zawodu tego garnęły się kobiety z średnim cenzusem naukowym, gdyż ten może się on opierać wyłącznie na ćwierci lub półinteligentkach.

Dotąd nie opromieniła zawodu pielęgniarki belewystyka. Nie reklamowała go dostatecznie prasa. — Dotąd traktuje się pielęgniarstwo, jako zawód pospo-

lity, podrzędny, jako coś zbliżonego do stanowiska służby domowej.

Nie mówiąc o tem, że w państwie demokratycznym, gdzie wszyscy są równymi sobie obywatelami i każdy głos tym samym ciężarem pada na szalę politycznego życia, wszelkie rozróżnianie tego rodzaju są zasadniczym anachronizmem, mam wrażenie, że ogół nie zdaje sobie sprawy z ważności zadania pielęgniarki.

Dotąd nie uświadamiamy sobie dostatecznie, że z rąk zaborców kraj nasz wyszedł obniżony kulturalnie, nie tylko w stosunku do zachodu, ale nawet w stosunku do tego, czem był przed okresem niewoli. Za czasów niepodległej Rzeczypospolitej w stosunku do jej zaludnienia więcej było szpitali, łaźni i t. p., niż później pod rządami Rosji.

Ta strona kultury, zewnętrzna wprawdzie, ale przecież tak doniosłego znaczenia i dla rozwoju duchowego także, znajduje się u nas dziś zwłaszcza w byłym zaborze rosyjskim, w stanie wprost opłakanym.

Bруд i niechlujstwo wszelkiego rodzaju rażą na każdym kroku, nie tylko po zapadłych wioskach i opuszczonych przez Boga i ludzi miejscach naszych, ale i w stolicy, wielkiego przecież, Państwa. Dość zejść w Warszawie na podwórza domów, nie tylko tych na krańcach, nie tylko tych w dzielnicy żydowskiej, ale nawet przy ulicach pierwszorzędnych, przy Nowym Świecie np. by przedstawił się oczom naszym widok, za który przed każdym cudzoziemcem wstydić się głęboko musimy.

Dość zejść do toalety wagonów 1 klasy na kolejach państwowych, by znów wstyd zrumieniał nam czoło.

Jesteśmy barbarzyńcami.

Dość być przypadkowo świadkiem ruszenia z miejsca stołu bufetowego na jakimkolwiek Dworcu kolejowym, by przekonać się, że spoczywają pod nim odpadki, przez cały rok gromadzone i rozkładające się w kurzu i śmieciach. Cóż, mówić o mieszkaniach prywatnych, i to nie tylko mieszkaniach ludzi ubogich (te bywają czasem niezmiernie czyste), ale także o lokalach zamożniejszych. W salonie świeci się posadzka, ale nie zaglądamy do kachni, a tem bardziej, — głębiej jeszcze!

Polskę całą od góry do dołu trzeba by obmyć z brudu niewoli, trzeba by wychować nowe pokolenia rozmiłowane w ładzie, czystości, porządku, pokolenia ludzi którzyby się codzień myli, czesali, nie rzucali odpadków na ulicy, nie pluli na chodniki i perony, nie lękali się świeżego powietrza itd. itd. To jest zadanie pielęgniarki, równie ważne, jak zadanie nauczycielki, również piękne pod względem społecznym doniosłe. Od zmian tych, tak głęboko sięgających w życie codzienne zależy zdrowy rozwój przyszłych pokoleń, piękność dzieci, zmniejszenie się ilości zaraźliwych chorób, dziesiątkujących ludność naszego Państwa — od tych zmian zależy nie tylko fizyczne ale i moralne zdrowie narodu. Nic bowiem nie wpływa tak ujemnie na stronę moralną ludzi a zwłaszcza młodzieży, jak nurzanie się w brudzie i niechlujstwie, nic łatwiej nie naprowadza myśli zdrożnych, chorobliwych i występnych, jak widok rzeczy ohydnych i wstrętnych fizycznie.

Czyż wobec tego wszystkiego zadania pielęgniarki w Polsce nie jest dość wzniosłym i pięknym i ważnym zadaniem?

H. C.

*) W komunikacie Biura Prasowego znajdują czytelniczek informacje o szkołach pielęgniarstwa.

ZDOLNOŚĆ KOBIET DO PRACY ZAWODOWEJ

Dalszy ciąg dyskusji nad kwestją pracy zawodowej kobiet (Przyp. Red.)



mawiając sprawę zdolności kobiet do pracy zawodowej, z góry musimy się zastrzec, że kobieta w stosunku do rozmaitych zawodów zachowuje się inaczej, niż mężczyzna. A dzieje się to ze względu na niejednakowe właściwości fizjologiczne i psychiczne u kobiet i u mężczyzn.

Mówiąc o różnicach, jakie istnieją między kobietami i mężczyznami, mamy na myśli przeciętne ich typy. Wyjątki i odchylenia w tę, czy inną stronę zdarzać się mogą, w rachubę jednak przy ogólnej ocenie nie mogą być brane.

Pod względem anatomicznym spostrzeżenia nasze wykazują, iż wzrost kobiet europejskich, wynosi przeciętnie 160 cm., czyli o jakie 12 cm. mniej niż u mężczyzn. Tułów kobiety w stosunku do wysokości bywa dłuższy, kończyny dolne — krótsze. szerokość pleców zaledwo o 3 cm. przewyższa szerokość bioder, gdy u mężczyzn różnica ta wynosi 14.5 cm. kośćceć kobiety jest wogóle słabszy, kości są bardziej gładkie wskutek słabego rozwoju mięśni. Stąd też waga kobiet wynosi zazwyczaj 55 kg. czyli 10 kg. mniej, niż u mężczyzn.

Mięśnie u kobiet są wogóle słabo rozwinięte, bardziej wiotkie i blade, skóra zaś — wogóle cieńsza, delikatniejsza.

Czaszka kobieca jest bezwzględnie mniejsza od męskiej, a więc pojemność mózgu, waga jego są mniejsze, niż u mężczyzn. Płuca, wątroba i serce są również u kobiet mniejsze.

Krew kobieca posiada w 1 ctm.³ o $\frac{1}{2}$ miliona czerwonych ciałek mniej, niż męska: ilość hemoglobiny wynosi 89%, o ile zawartość jej u mężczyzn oznaczamy przez 100%. Naczynia krwionośne (tętnice i żyły) bywają u kobiet cieńsze t. j. o światło mniejszem i posiadają ścianki daleko cieńsze, niż u mężczyzn.

I pod względem fizjologicznym różnice te bywają dość wybitne. Rozrost dziewcząt kończy się o wiele wcześniej (mniej więcej w 20-m roku życia, co odpowiada też wcześniejszemu dojrzewaniu płciowemu) niż u chłopców, u których

rozrost trwa do 23-go roku.

Największą wagę osiągają mężczyźni w 40 r. gdy kobiety dopiero w 50 r. życia. Pojemność płuc jest u kobiet mniejszą; ilość oddechów bywa u kobiet, większą (20—24 na minutę, niż u mężczyzn (16—20) przepona brzuszna posiada u mężczyzn grubsze włókna mięśniowe, niż u kobiet co zależy od głębokiego oddychania brzuszego u mężczyzn, gdy u kobiet przeważa oddech piersiowy.

Tętno u kobiet bywa szybsze, wymiana materii t. j. wymiana gazów, przemiana białka i praca mięśniowa bywa niższa i wynosi zaledwo $\frac{2}{3}$ przeciętnych tych wartości u mężczyzn. Okres dojrzalskości rozpoczyna się i kończy u kobiet wcześniej niż u mężczyzn.

Z momentem wystąpienia dojrzalskości płciowej, tym okresem niedokrwistości u kobiet pod wpływem periodycznej utraty około 100 — grm. krwi, występują pewne niedomagania ze strony rozmaitych narządów, połączone z ogólnym osłabieniem.

Jeżeli do tych niedomagań, od których zaledwo 16% kobiet jest wolnych, dołączymy ciężę, poród i połóg, to otrzymamy cały zbiór przypadłości, stanowiących wyłączny przywilej kobiet.

I byłoby nie do pomyślenia, ażeby wszystkie te przeżycia czysto fizjologiczne, nie odbiły się na duszy kobiecej, na jej psychice.

Głębszy sposób myślenia u kobiet, ich lepsza i głębsza znajomość i zdolność przenikania ludzi, większy dar intuicyjny, większa uczuciowość, wrażliwość, taktowność, większe współczucie dla słabych i opuszczonych, głębsze odczucie każdej radości i smutku, szczere przywiązanie do danych tradycji, pracowitość i poczucie obowiązku, dar spostrzegawczy, szybsze orjentowanie się, stanowczość w wyrażaniu swej woli i w postępowaniu, brak zainteresowania się rzeczami oderwanymi, abstrakcyjnymi i w przeciwieństwie do wszystkich tych cech natury kobiecej — mała produktywność w dziedzinie nauki i sztuk pięknych: wszystko to maluje nam jaskrawo obraz psychiki kobiecej, inny niż u mężczyzn, nie lepszy i nie gorszy, niż u mężczyzn, lecz inny.

I sławny dziś na świat cały twórca nowej teorii mechaniki we wszechświecie, zwany żywym Kopernikiem, Albert Einstein, tak się wyraża o kobiecie.

„Psychika kobieca, kierująca się w życiu uczuciem, okazuje w tym kierunku subtelność dla mężczyzny niedoścignioną, podczas gdy najcięższe dzieła rozumu zależą może od przewagi substancji mózgowej u mężczyzn.

Nadwyżka ta otwiera horoskopy wielkich odkryć i wynalazków. Trudno wyobrazić sobie z niewieściej postaci takich np. genjuszów, jak Galileusz, Kepler, Kartezjusz, Michał Anioł i t. p. Kobieta nie mogła zrodzić rachunku różniczkowego, zrodziła jednak Leibnitza, nie mogła zrodzić krytyki czystego rozumu, ale za to zrodziła Kanta. Kobieta, jako rodzicielka wszystkich wielkości duchowych ma co najmniej prawo do wszelkich środków kształcenia się“.

Na podstawie stwierdzonych tym sposobem różnic anatomicznych, fizjologicznych i psychicznych obydwu płci, przekonaliśmy się o niejednakowej ich budowie, niejednakowych własnościach fizjologicznych i psychicznych.

I dlatego nie możemy tu mówić o mniejszej lub większej wartości tej, czy innej płci, ale tylko o ich różnorodności. I dlatego też z punktu widzenia biologicznego nie moglibyśmy się wypowiedzieć bezwzględnie w obronie ruchu kobiecego, który ideał swój widzi w równouprawnieniu na każdym polu pracy ludzkiej. Pragnęlibyśmy, by to biologicznie ugruntowane różniczkowanie płci było zachowane również w życiu praktycznym i zostało należycie wykorzystywane w dziedzinach najbardziej im odpowiadających i to tembardziej że praca w rozmaitych zawodach zupełnie inny wpływ wywiera pod względem fizycznym i psychicznym na kobiety, niż na mężczyzn. Wpływ ten u kobiet pracujących zawodowo rozciąga się nie tylko na nią samą, ale również na stan całej przyszłej jej generacji tak co do jakości, jak i ilości, u kobiet bowiem pracujących zawodowo zdolność rozrodcza, jak i chęć przysparzania członków nowych pokoleń, bywa w wysokim stopniu upośledzona.

Stąd też praca zawodowa kobiet posiada wielkie znaczenie społeczne pod względem przyrostu ludności, zwłaszcza praca kobiet zamężnych ze względu na ich ściślejszy związek z rodziną oraz na zasadnicze przeciwieństwo pracy zawodowej poza domem w stosunku do zadań zachowania rodu ludzkiego.

Do pracy zawodowej kobiet poza domem zmuszają złe warunki socjalne. Ruch kobiecy pracy tej nie odrzuca, aczkolwiek przyznaje, iż praca kobiet zamężnych poza domem sprowadza często ruinę rodziny, wpływając bardzo ujemnie na całokształt jej życia.

Twierdzono wprawdzie, iż praca zawodowa kobiet poza domem, stanowi jedynie lokalną zmianę pracy, przeniesienie jej z domu do fabryki, warsztatu, że ilość pracy tym sposobem nie zwiększa się, przedtem bowiem kobieta, dla zadośćuczynienia potrzebom dawnym tyleż musiała pracować, co i w fabryce.

Twierdzenie to posiada pewną tylko dozę słuszności. Wobec trudności i wysokich kosztów, związanych ostatnimi czasy z wyszukiwaniem pomocy do pracy domowej, panie nasze wystawiane bywają na nieustanną i ciężką pracę

koło domu. Ta jednak praca, wchodząca w zakres obowiązków każdej gospodyni, wielce urozmaicona, dowolnie zmieniana i dowolnie odpoczynkami przerywana, pod względem higienicznym stoi o całe niebo wyżej od szkodliwej zawsze pracy zawodowej poza domem, w ciągu stale określonej ilości godzin.

Z pracą fabryczną wiąże się na gromadzenie większej ilości pracowników, szybkie psucie się powietrza pod wpływem wzmoczonego gorąca, wilgoci, kurzu, gazów szkodliwych, pasorzytów chorobotwórczych, zdenerwowanie pod wpływem ustawicznego szumu i wstrząśnień maszyn, oraz natężenie pracy, zwłaszcza przy robotach akordowych, zmęczenie pewnych grup mięśniowych, nerwów, i narządów wewnętrznych wskutek wadliwego trzymania się, np. długotrwałego stania lub siedzenia w jednej pozycji ze zgiętym tułowiem i wreszcie chemiczne działanie niektórych trucizn zawodowych oraz wypadki nieszczęśliwe. Wszystko to stwarza całą pełnię szk-



dliwości, na które kobieta w pracy domowej nie bywa wystawiona.

I statystyka wykazuje, iż śmiertelność wśród kobiet pracujących zawodowo, przewyższa ogólną śmiertelność wśród kobiet dotyka, je przeważnie w okresie największej płodności. Ponadto dzieci nieżywo zrodzone, poronienia, porody przedwczesne u kobiet pracujących w rozmaitych zawodach nie należą do wyjątków.

Streszczając się raz jeszcze, musimy przyjść do wniosku, że z punktu widzenia higieny społecznej pożądane jest, by praca zawodowa kobiet zamężnych wogóle została zarzuconą. Stawki zarobkowe mężczyzn powinny być tak wysokie, by zapewniały odpowiedni i dostatni byt rodzinom, by dla względów ekonomicznych kobiety zamężne nie potrzebowały szukać zarobków poza domem.

Jednogodnym wszystkich, stojących na czele higieny społecznej życzeniem i dążeniem jest, by szczytna rola, jaka przypadła kobiecie w tem życiu domowym, rola matki i wychowawczyni przyszłych pokoleń, rola kapłanki ogniska domowego, nie była paczoną przez powoływanie jej do pracy zawodowej, którą w całości przyjąć powinni mężczyźni. Dr. Al Fruchtman

Nieznany autograf Narcyzy Żmichowskiej p. t. „Dwoiste Życie”

Bohaterka powieści zwierza się ze swych przeżyć autorce, którą nazywa swą siostrą wybraną. Niniejszy epizod zawiera opis pogrzebu i obserwacji, czynionych na nim przez Białą Różę.

„Opowiem ci wszystkie marzenia moje, wszystkie przemiany wrażeń czy uczuć, sama sądzić będziesz — opowiem tak szczerze, siostrzyczko moja wybrana, jak gdybym nie w atramencie pióra maczała, ale w mózgu mej głowy — w cieplej krwi żywego serca —

Pojechałam raz na wieś z moją matką — Adolf był zagranicą — Moryś został w Warszawie. — My dwie tylko sam na sam całe lato spędzić miałyśmy spokojnie; gdyż jakieś nowe urządzenia wymagały koniecznie osobistego mej matki, w świeżo nabytych dobrach, pobytu. — Wieś nawet biedną

Leokadję wyzwoliła trochę z jej niewolniczo formułkowego życia* — Po całych dniach przesiadywała sobie w ślicznym, gęsto drzewami zarosłym ogrodzie — czasem nawet dość dalekie za ogród robiła wycieczki. — Nikt z sąsiedztwa nie mógł się tem gorszyć, bośmy jeszcze nie znali nikogo, a że w okolicy nie było słyhać o żadnym domu, któryby zamożnością naszemu wyrównywał i względem którego wartoby się było z uiszczeniem towarzyskich obowiązków pośpieszyć — więc też matka nie spieszyła się wcale — i najzupełniejsza dokoła nas samoność zaległa. — Jednego dnia — przybranym od jakiegoś czasu zwy-

czajem — wymknęłam się na pola i długo od dróżki do dróżki, od ścieżki do ścieżki kręciłam się bez celu. — Nakoniec ujrzałam się przy bramie cmentarza.

Na cmentarzu był pogrzeb właśnie, trzech ludzi, ksiądz i trumna — weszłam bez żadnego namysłu, żadnego — wiedziona tą przyrodzoną duszą naszej skłonnością, która uczy choćby najszcześliwszych, choćby najlękliwszych ludzi dłuższem spojrzeniem zatrzymuje na obrazie śmierci i zniszczenia. — Weszłam więc — zdaje mi się, że widzę jeszcze ową ziemię, w nierównie ukarbowaną mogiłki, czarnemi i zielonemi najeżoną krzyżykami, z wielką kostnicą we środku, z białym murem dokoła. Piołuny i krwawniki gęstym kobiercem słały się pod nogi moje — gdzieś gdzie przy świeższym grobie krzak róży w górę wystrzelał, albo młodziutka brzoza drobnymi płakała

*) Dwoiste życie bohaterki sprawia, że nazywa ona siebie Leokadją; gdy idzie o konwencjonalne stosunki ze światem zewnętrznym, gdy chodzi o jej życie duchowe, zwie się Białą Różą.

listkami. — Wielkie polne stokrocce, niby rozwarłe umarłych oczy spoglądały ku niebu i ku słońcu, ale niebo zasępiło się nad niemi, słońca nie było widać z poza gęstej chmury co od południa na zachód przewieszała się zwolna niby grubej żałoby opona. W bliskości kostnicy między małym grobem dziecięcia, na którym dwie lilijki kwitnęły, a zapomniana mogiła dawnego dziedzica, na której połamane sztachetki niszcząc do reszty o zniesieniu ostatniego przedziału świadczyły, wykopano dół niezbyt głęboki, trzy łokcie długi, dwa łokcie szeroki, najcisze i najwygodniejsze przed cierpieniami schronienie.

Dwóch ludzi przyniosło białą, z prostych desek zbitą trumnę. — Poznałam kościelnego dziadka i organistę — Za nimi siedł w milczeniu jakiś zupełnie obcy dla mnie człowiek — w skromnym, aż do ubóstwa, lecz porządnym aż do wykwinności ubiorze. Przez chwilę dla zbyt krótkiego wzroku rysów twarzy jego rozpoznać nie mogłam, ale chód jego wolny i poważny, głowa niby uszanowaniem dla świętego miejsca, niby jakąś tęskną myślą ku ziemi schylona — i ta godność ruchu i ta szlachetność postawy, która wrażeniem na nas działa pierwszej nawet, niż ja sobie właściwie oznaczyć podążył — wszystko to razem mimowolnie zwróciło moją uwagę. Tymczasem trumnę spuszczano do grobu. — Przyklękłam pobożnie, a z głębi serca mojego szczerza jakoś i rzewniejsza modlitwa się wzniosła.

Ksiądz śpiewał uroczystą pieśń pogrzebu — jej dźwięki surowe, przeciągłe, straszliwe w jednostajności swojej ginęły bez echa i bez wibracji prawie w ciężkim dniu tego powietrza — nagle pieśń się skończyła, cichość padła na cmentarz cały, tylko słychać było tarcie się sznura o deski trumienne, a wkrótce potem stuk głuchy i przytłumiony, jakby ostatnie konającego jęknięcie — to był stuk trumny, gdy na dno grobu swego zapadła.

Młody nieznajomy człowiek w obie dłonie grubego nabrał piasku i pierwszy rzucił go do dołu, żwir się rozsypał po wieku z dziwnym jak zgrzytanie zębów, jak rozbicie

glinianego naczynia, hałasem — Kościelny wziął się potem do rydla i raz po raz odzywał się ten przycichły głos ziemi, witający wracające do jej łona dziecię. — On już nie pomagał mu dalej — ręce na piersiach skrzyżował i stanął tuż przy grobie, nie smutny, lecz zamyślony głęboko. W tej chwili ja także spojrzałam pierwszym wyraźnym spojrzeniem w twarz nieznajomego. — Twarz ciemnej cery, ciemnych oczu, włosami czarnymi jak krucze pióra przysłonięta, a jednak takim blaskiem jaśniejąca, że z niej czystsza i promienniejsza światłość biła, niż światłość gorejącego najżywszymi płomieniami zachodu.

Nie, ja tego wyraźnie nie zdołałam nigdy — jaka to była pogoda, jaka szlachetność, jaka pełna godności tęsknota na tem młodem obliczu, na tem wyniosłym czole. Wzrok jego smutno patrzył, a jednak czułam, że sięgał daleko, że płynął wszędzie i przenikał wszystko, jak wzrok słoneczny, w atmosferę, wypełniając do tajemnych głębin ziemi naszej wsiąka i tam iskierki diamentów rozsiewa.

Jakże mi zniknął i znikczemniał przy nim nasz proboszcz pocziwy w swoją białą komeżkę ubrany. — Kapłanem on tu był — z prawa natury i piękności swojej.

Tobie się zdawać może przesadzonym jego opis, siostrzyczko — mnie on jeszcze niedokładnym się zdaje.

Och, ja ci powiem — przecież w tem pierwszym spotkaniu to nie było ani zaślepienia miłości, ani zrozumienia jego charakteru — ani wnioskowania żadnego, ani czas nie był nawet do zbadania fantazji — to było niespodziewane pochylenie wszystkich władz duszy mojej, które wielbić mogły, to było nagłe uderzenie wzroku mojego o doskonałość, artystyczność — wierz mi — siostrzyczko, mnie w myśli nawet nie powstało wtedy, że on mężczyzna mnie kobiecie podobał się tak bardzo — zatraciłam wszelki wzgląd na możliwość jakichkolwiek między nami stosunków. — Byłam wyłącznie widzeniem mojem dla widzenia samego zajęta. — Kiedy wzniosł czoło nakoniec, ja zalotna, ja piękna, ja zepsuta salonów bogini nie pomyślałam jedną chwilą przypuszczenia, czy on spojrzy, czy

on może spojrzeć w moją stronę, nie — ja tylko rozumiałam po raz pierwszy w życiu, dlaczego to najdawniejsi, chrześcijańscy malarze, którzy własnymi oczyma w tyłu świętych oblicza patrzyli, nigdy ich wizerunku przynależną dokładnością oddać nie próbowali.

Istotnie rozwiązała się dla mnie wówczas ta niedocieczona zagadka. — Wobec podobnej rzeczywistości sztuka — nicością. — Zostaje tylko dziecięca serc prostota — uwielbienie — pokora i symbol. — Symbol niemej, a głębokiej wiary, jedyny na zewnątrz objaw. Twarz nieznajomego w obrazie musiałaby się także symbolem dopełnić. Jakkolwiek śmiało rzuciłby kto linję, nigdyby nie zbliżył się nawet do podobieństwa, tej wielkości i potęgi, złagodzonej niezachwianym spokojem, niewyczerpaną miłością. — Malarz, artysta prawdziwy pewnoby się nie powstydział własnej niemocy przed wzorem takowym, ale wzięły go poprostu, jak bizantyjscy poprzednicy jego siedem gwiazd złotych i w koronę ponad czołem by ułożył, ażeby kiedyś patrzący na dzieło, domyślić się mogli przynajmniej, jaką światłością dla drugich tajemna myśl tej pięknej głowy promieniała. Widzisz sama, siostrzyczko, że moje wrażenia rozwijały się na ścisłych estetyki zasadach — liryczności nie było w nich ani na jedno westchnienie, ani na pół rumieńca. — Prawda, że kiedy wszyscy już wyszli, a on pozostał jeszcze, mnie jakąś dzieciną radością serce uderzyło, ale gdy się spostrzegłam, że w tej radości było coś podobnego do zarozumiałej nadziei, jakoby dla mnie wstrzymał się na chwilę — sama przed sobą zawstydzłam się okropnie — i co prędzej z ziemi powstałam — bo wystaw sobie moja droga, co to są za dziwne czasem losy zrządzenia, przy pierwszym spotkaniu z tym człowiekiem ja klęczałam ciągle — zaraz dla modlitwy, później przez zapomnienie — czyż to nie było wróżbą stosunku naszego? On zawsze tak spokojny, tak święty, ja zawsze przed nim tak ukorzona.

Z autogr. wydała

(c. d. n.)

Zofia Szymdłowa



MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II. *)

ŚWIEKRA I SYNOWA

(W przeszłości)

I.

Wiół ją przez złote morze ukraińskiej pszenicy do siebie, do majątku—w dwa miesiące po ślubie. Konie, pół krwi araby, rwały na wyścig z wiatrem stepowym. Słońce prażyło — buda powozu była napuszczona — pan Józef drzemał, objawsz ramieniem swoją cienką żonę, którą dla tej cienkości z Basią przemianował na Bazię. — Basia wątle ręczyny zarzuciła mu na na pierś, sklepioną potężnie. Bez kapelusza z włosami blond zwichrzonymi otwarła usta i szybko poruszała nozdrzami, pijąc odurzający wiatr stepowy. Jej twarz, która miała w sobie tyle ufego dziecięctwa i świętej prostoty, przybrała zabawny dla niej wyraz upojonej bachantki.

— Nie śpij, Józiu, kiedy ja jestem taka szczęśliwa!

— Detynka moja... detynka — zamruczał sennie Józef i drzemał dalej.

Obudziło go dopiero to, że powóz stanął. Konie piły z jednego z tych łysych jezior, które błyszczą po stepie, jak kawałki stłuczonego lusterka po zielonym dywanie.

— Mamusia tam już nas oczekuje — spojrzał na zegarek i dał znak do drogi.

— „Mamusia“ — powtórzyła żona, podnosząc wiałkie lazurowe oczy, tak przezroczyście, że widać było przez nie całą jej duszę. Nie posiadał się ze szczęścia, że jeszcze raz w życiu będzie wymawiała to słodkie słowo... którym znała tylko w dalekim dzieciństwie, a którego już zapomniały usta...

— Nie wyobrażaj sobie, że jedziesz do świekry... jedziesz do matki, swojej, rodzonej... Bo ona będzie ci matką! zobaczysz, jaką cię troskliwością otoczy, chucherkę ty moje... W jej rękach, jak kwiat zakwitniesz.

Matka moja jest aniołem!

Ale... przecież każdy ma jakąś słabość?...!

Matka jest arbitralna — lubi rządzić i panować. Serce ma złote. Zrobisz zawsze wszystko, co zechcesz. Tylko trzeba coś trochę poświęcić z miłości własnej — i wy-

rabiać sobie pozwolenie... Zostaw jej stanowisko pani domu — ty będziesz w nim córeczką. Będzie ci z tem lepiej przy twoich upodobaniach i delikatnem zdrowiu. — W gospodarstwie to już chyba wcale nie zechcesz z matką rywalizować?

Basia roześmiała się z tej rywalizacji.

— Byleby mi mama grać pozwoliła

— Ile ci się żywnie spodoba.

— I kwiaty sadzić?

— I kwiaty sadzić.

— I pawia będę miała?

— Będiesz miała pawia.

— I synka?

— A jakże i córeczkę...

Tu młodzi zaczęli się całować i szeptać... A powóz wtaczał się już w lipową aleję—szybko, wesoło zmięły się im po twarzy pasy cienia i pasy światła. Na ganku zarysowała się rosła postać matrony, jeszcze w sile wieku — lecz gdy przed nim stanęli, objechawszy gazon dookoła, już jej nie było...

Józef zdziwiony popędził za matką w głąb domu i skamieniał wobec jej twarzy, jak gradowa chmura...

— Mamusiu?!...!

— Cóż ci mi ty do domu przywiozł?—Kurtyzanę?! czy co?... któraż to młoda kobieta z dobrej rodziny wjeżdża taka rozczochrana i rozkrzyżowana na mężczyznę do domu, który jeszcze nie jest jej domem...

— A no, jesteśmy dwumiesięcznym małżeństwem... niech sobie mama przypomni, jak to było w dwa miesiące po ślubie z moim ojcem...

Żartował—ale mu na czoło wystąpiła ta gruba żyła, której matka się bała... Opamiętała się w ten moment, że popełniła grubą błąd dyplomatyczny i jak pierwszorzędna aktorka zmieniła błyskawicznie wyraz twarzy, ton głosu,—przeobraziła się w czułość, w radosne ożywienie...

— Ależ tak! ależ tak... drogie dziecko... przez miłość dla niej! — tam wszystkie nosy spłaszczyły się

*) Część pierwsza skończona w r. zeszłym w czerwcu. Część druga ukazuje się z opóźnieniem z powodu choroby autorki.

o szybko... pan Szafranski, ciocia Femcia, Brygisia, panna Parquet... i będą ją sądzić wedle swojej parafjańskiej etykiety!—Ależ śliczna jest ta twoja Bażka! —

Złe wrażenie zostało zatarte — objęli się i ucałowali.

Basia tymczasem na ganku robiła znajomość z wielkimi podwórzowymi psami.

— Patrzcie się! patrzcie się! mówiła matka — czy ta kobieta nie jest czarownicą—przecież to są ludodjady — a do niej odrazu się ła-szą!...

Tu obie panie rozłożyście, faliście padły sobie w objęcia. Wiotka synowa znikła zupełnie w bohater-skich ramionach niewiasty kresowej — ale im skwapliwiej w nie padła, tem skwapliwiej starała się z nich wydobyć... Są uściski, które nam robią wewnętrzne sińce... i zimno w sercu... Młode żrenice lazurowe, takie ufne i takie szczerze szukały spotkania z oczami Matki—ale zetknawszy się z niemi, czem prędzej schroniły się pod powieki: oczy Mężowskiej Matki to było miało tłuczone szkło... zakłóciła ją od ich spojrzenia aż w mózgu...

W epoce narzeczeństwa, przygotowując pokoje dla swojej „przyszłej“, Józef pod jej oknami zasadził same róże, najwspanialszych krzaków pięćset! Wszystko to kwitło teraz tak, że kwiat zagłuszał liście... W samym środku biła fontanna: prosty, cienki słup kryształowy, który rozbijając się o powietrze, opadał w słońcu deszczem iskier i w marmurowej misie szemrał, jak źródło. Wietrzyk tu rzucał serduszka płatków różanych. Tutaj młoda pani odbywała co rano ablucje z ognia i wody — podstawiła pod fontannę czoło, świecące białością perłowej masy, naczepywała oburącz wody — a potem szła w płomienie słońca!.. Robiła rewję róż... pocałowała gdzie niekórą w przechodzie: „To w braku Józia — bo usta wasze tak słodkie nie są, jak jego“. I siadała do szpineciku, który stał w sypialni.

Głos niewielki, ale dziwnie miły i doskonale nastrojony przy dobie-ranym na poczekaniu akompaniamencie śpiewał o swojej wiośnie i miłości—wśród róż na słońcu i szeptu fontanny.

„Jeżus, Marja!” — wzdrygnęła się, zrywając na równe nogi—gwałtowne trzaśnięcie drzwiami, jedne, drugie, piąte... wstrząsało domem, aż szyby drżały w oknach... Ktoś z pasją zamykał cały szereg drzwi od najbliższych do najdalszych... „To mama!... smutnie pokiwała głową—ile tylko razy siądę do fortepianu”.

Wesoły ptak oniemiał—na progu drzwiszkanych—wobec róż rozkosznych królowa ich siedziała smutna.

Czas był roboczy, gorący—Józef wpadał do domu od czasu do czasu na dzień, dwa i ruszał znów objeżdżać folwarki. W jego nieobecności Basia nie miała do kogo ust otworzyć. Wszyscy od niej stronili—każdy urywał rozmowę, jak nożem ciął. Każdy bał się być przez nią wyróżnionym, lub zdradzić się z sympatią dla niej. Kto znajdował się w niełasce u starszej pani, ten w Topolówce był izolowany tak, jak gdyby był zapowietrzonym, lub pod średnio-wieczną anatemią. Basia czuła, że ją otacza głucha nienawiść — ale w żaden sposób uwierzyć w to nie mogła. Ona miała tak bajeczne szczęście do ludzi! tak wszyscy ją lubili!—w sieroctwie swoim nie czuła sieroctwa. Trzy pokrewne domy poważniły się z sobą o Basię: gdzie ma zamieszkać po śmierci rodziców.

Nie włókł się za nią cały hufiec rozkochanych mężczyzn — ale ciągnęli za nią wszyscy, bez różnicy płci, stanu i wieku.

„Śliczna! śliczna!” ścigał ją szmer tłumu, gdy biegła ulicami Warszawy. — Ludzie stawali — odwracały się za nią głowy — śmiały się do niej oczy i usta. Czar jej działał na wszystkich zarówno: na kobiety, dzieci i ludzi prostych. Starcy najbardziej zgorzkniali i posępni rozchmurzali się na jej widok—przyjemnością było dla każdego usłużyć jej w czemkolwiek—powiedzieć bodaj oczami: „O! jakaż ty śliczna!”

Wprawdzie i tutaj pan Szafranski od jej przybycia co raz czarniej szwarcował wąsy — oberwał już nawet za to „stary osioł”, które pani Topolska matka umiała rzucić w przestrzeń bez adresu.

Panna Parquet aż drżała, aby się zbliżyć do młodej pani. Francuzi mają dar wiecznej młodości—ach, jakżeby się doskonale bawiła z nią razem—elle est jolite

comme un cœur!—jakżeby im było z sobą wesoło. Lecz pan Szafranski i panna Parquet bali się o swoje stanowisko rezydentów—zamieniali więc tylko ze sobą spojrzenie pełne współczucia, w stronę Basi. — Ale nikt do niej zbliżyć się nie ośmielił. Mieli już przed oczyma naukę na przykładzie. Marysia, która kilka razy zwróciła się po dyspozycję do młodej pani, i co dzień zrana przynosiła jej do łóżka świeży bukiet — została wydalona i odeszła z płaczem. Natomiast gospodyni, za grubiańskie ofuknięcie młodej pani odebrała wprawdzie od starszej pani publiczny monit — ale nazajutrz dostała na suknię.

„Nie — nie! to mi się wszystko napewno tak wydaje. — Za coś by mnie mama miała nie lubić? — Ale być może nie podoba się jej moje postępowanie?! — i słusznie!... Józio mnie źle poinformował. — Bądź co bądź, jak to wygląda? stara matka pracuje, a młoda synowa się bawi!”

W domu jej ojca, profesora konserwatorium, nie było nic ważniejszego i świętszego nad muzykę... „Ale dla nich tutaj muzyka jest zabijaniem czasu” — „trzeba zmienić postępowanie”.

Nazajutrz zerwała się o świcie i kazała zaprowadzić do starszej pani. Pani starsza stała w pośrodku obory z całym swoim generalnym sztabem: Brygida po lewej, ciocia Femcia po prawej ręce.

Było tutaj wesoło — śmiech czasem wybuchał. — Pani opowiadała — a wszystkie oczy podnosiły się ku niej, jak ku obrazowi świętemu — niektóre kobiety poruszały nawet wargami, jak za księdzem w kościele powtarzając za nią słowa dla większego respektu. Gdy Basia weszła, odrazu widać było, że to wszedł intruz. Rozmowa się urwała, jakby kto świecę zdmuchnął — twarze się w sobie zamknęły, każdy afektował, że go ogromnie zaabsorbowało to, co robił. Na „dzień dobry” młodej pani odpowiedziało jakieś jedno niewyraźne mruknięcie. — Nikt jej nie widział — a ona widziała same tylko plecy i schylone nad robotą głowy. W niemiłej ciszy słychać było cykanie mleka w skopki. Taka demonstracja całego personelu udobruchała szefa. Spytała się dość grzecznie synowej, czy przysłała może napić się mleka prosto od krowy. Basia na to odpowiedziała, że przysłała oddać się pod jej rozkazy, że chciałyby się uczyć gospodarstwa, aby z czasem stać się jej prawą ręką. — „Może nogą?” — szepnęła ciocia Femcia do ucha Brigidzie, a koncept ten obiegił wszystkich

wkoło, wywołując stłumione chichoty...

— A no, miało się dzisiaj robić masło—to zajmij się tem. — Niech tam która idzie z młodą panią.

— Ale ja, mamusi, nie wiem, jak to się robi?—prosiłabym o nauczanie.

— Ach, nie wiesz!... uczyć cię? — no to dziękuję ci za taką łaskę! strata czasu i fatyga.

Jak to źle, że wy mieszczańki idziecie zamąż na wieś. My, wiejskie panny od takiego berbecia uczymy się gospodarstwa od naszych matek.

I zwróciwszy się do gospodyni z jakąś fachową kwestją, przestała widzieć synową, dając tem znak, że audjencja skończona.

O zmierzchu, przechadzając się obwodową aleją, na którą wychodziło okienko ze spiżarni, Basia posłyszała rozmowę. „Już jej zapachniały rządy! mnie wysiadać, samej być panią domu — więc niby to się zabiera do gospodarstwa. Ale jej porządnie nosa utarła — i jeszcze lepiej utrę!” — „Operacja” ta odbyła się tegoż samego dnia przy kolacji, do której we dwie tylko zasiadły.

— Zostań chwilę—rzekła Świekra do chcącej już odejść synowej—chciałam cię trochę poinformować o naszych stosunkach majątkowych.

— Ach, mam, — rzekła Basia, składając ręce—ja się nic na tem nie znam i mnie to nic nie obchodzi!

— Bardzo ci wierzę, że się nie znasz i że nie umiesz ocenić tego, czego nigdy nie posiadałaś w życiu... ale.

— Ach, tak niestety! — ja nie mam majątku—zawołała z żalem, rozwodząc ręce. — Wiem, że Józio zrobił megalomanię, żeniąc się ze mną... on który mógł być sięgnąć po pierwszą pannę w Polsce...

— Ach, ach, zakołysała się stara z głuchą rozpaczą — sąsiadka najbliższa, panna Marja N., ziemie nasze się stykają — majątek złote jabłko—kobieta jak Venus—pierwsza robiła mu awanse. — Hrabina Natalja, młodzianka wdowa, koligacje z pierwszemi rodami w Polsce, majątek milionowy... Ale na cóż się to wszystko zdało, kiedy on wolał pannę Barbarę... Barbarę... jakto tam brzmi??

— Basakównę.

— Aha! Tasakównę!... Tasak?? co to takiego... już wiem, to jest taki nóż kuchenny... Musiał antenat twój posługiwać się tym orężem — ale zapewne nie na wojnie?!... (c. d. n.)



KWIAT MORELI



Morelowego kwiecia pełne mam dłonie; śnieżna, puszysta gromada, leży w ciszy przerwanego cydu wiosnianego życia.

Z świadomością okrutną celu palce moje miłośnicie obejmowały każde kwiecie, obrywając je lekko z bezlistnej gałązki, by młodym pędem przyszłych gałązek oddać życiodajną siłę soków, by smukłe i jędrne odeszły od pnia przyszłe, złote rodzić owoce.

Malinowych pięć płatków kielicha niesie śnieżnych pięć płatków korony; wewnątrz puszysty pędzel złotogłowych pręcików i miododajny ukryty pachnie słupkę.

Pszczółki brzęczące, z wiosnianą mocą szukające miodu, odpędzać musiałem, by rwać słodyczką ciężkie cudo przebiegłego kwiecia. Z srebrnym dźwiękiem przelewam tę białosć z dłoni na dłoń i woń mocna, upojna wznosi się ku mnie.

W białej beczulce zamkniętych kwiatów, pączki skrywają tajemnicy swej wnętrze.

Chłodem swej białosći, chłodzi me ręce puch, co przyszłego owocu niesie obietnicę.

I zdaje mi się, że to serce nieurodzonych moreli niosę czującymi rękami na ofiarę wiosnie słonecznie młodej, upojnie pachnącej... i swej własnej duszy... co wiecznie wierząca, i wiecznie rozmiłowana, tej wiosny radością się poi.

TERESA SAPIEŻYŃA

LAFCADIO HEARN

O S H I D O R I

Był niegdyś sokolnik i myśliwy, zwany Sonjo, który mieszkał w powiecie Tamura—no—Go, prowincji Mutsu. Pewnego dnia wyszedł na polowanie, ale nie mógł trafić na zwierzynę. Wracając jednak do domu, w miejscu zwanym Akanuma zauważył parę oshidori*) (kaczki — mandarynki) pływających razem po rzece, przez którą właśnie zamierzał się przeprawić. Niedobrze jest zabijać oshidori, ale Sonjo dokuczał głód, więc strzelił do pary ptaków. Strzała przeszła samca, samica zaś umknęła kryjąc się w trzcinach przeciwnego wybrzeża. — Sonjo zabrał do domu upolowanego ptaka i ugotował go.

Tej nocy miał dziwnie ponury sen. Wydało mu się, że bardzo piękna kobieta weszła do jego pokoju i stanąwszy u wezgłowia — płakała.

Płakała zaś tak gorzko, że Sonjo, słuchając łkania, miał wrażenie, jak gdyby mu serce z piersi wyrwane — a kobieta szlochając mówiła doń: „Czemu, ach czemuś go zabił? Czemże zawinił? Byliśmy tak szczęśliwi razem w Akanuma i zabiłeś go!... Cóż złego ci uczynił? Czy wiesz przynajmniej coś

zrobił? ach! czy wiesz jak okrutny, jak zły czyn popełniłeś? Mnie, tak — że zabiłeś — bo żyć nie będę bez mego męża! Przyszedł tylko dlatego, aby ci powiedzieć... Potem znowu zaczęła płakać głośno i tak gorzko, że płacz jej przenikał słuchacza do szpiku kości i wypłakała słowa następującego wiersza:

Hi Kururēba
Kasoēstri mono wo—
Akanuma no
Makomo no krue no
Hitōri—né zo uki!

*) Z dawien dawna na Dalekim Wschodzie, ptaki te uważane są za symbol miłości małżeńskiej.

**) Trzeci wiersz japońskiego wierszyka zawiera wzruszające podwójne znaczenie — bowiem sylaby składające się na nazwę Akanuma („Czerwone Bagno“) mogą być również czytane Akanu — ma co oznacza: czas naszego nierozrwalnego (albo słodkiego) stosunku. Więc wierszyk może być również interpretowany: „Kiedy zmierzch zapadał, poprosiłam go, by mi towarzyszył...! Teraz po czasie tego słodkiego stosunku, co za boleść dla tej, która musi usypiać sama w cieniu trzcin.“

(Skoro zmrok zapadał prosiłam go by ze mną powracał. — Teraz usypiać samej w cieniu trzcin Akanuma — ach cóż za boleść niewysłowioną!).

I wypowiedziawszy te słowa, zawołała: — Ach! nie wiesz i wiedzieć nie możesz coś uczynić! Ale jutro, gdy się udasz do Akanuma, zobaczysz, zobaczysz! To rzekłszy, płacząc rozpaczliwie — odeszła.

Kiedy Sonjo obudził się zrana, sen pozostał tak żywym w jego pamięci, że był nim do głębi poruszony. Zapamiętał słowa: Ale jutro, gdy się udasz do Akanuma — zobaczysz, zobaczysz. —

Toteż postanowił niezwłocznie tam się udać, aby się przekonać, czy sen jego był istotnie czemś więcej, aniżeli zwykłym snem.

Przyszedłszy do Akanuma, stanął na brzegu rzeki i ujrzał samice oshidori. — Pływała sama. W tej samej chwili ptak zauważył Sonjo, ale zamiast umknąć, podpłynął prosto ku niemu przyglądając mu się w dziwny, badawczy sposób. — Potem dziobem rozdarł pierś własną i skonał w oczach myśliwego.

Sonjo ogolił głowę i został kałanem.

Tom. Zofja Rościszewska



J U L J U S Z W I R S K I

IDYLLA NA ARKTYKU



Był to zakątek przez Boga i ludzi zapomniany, gdzieś u przylądka półn. wschod. brzegu cieśniny Beringa, w miejscu, gdzie nawet małe, karłowate sosny nie rosły, a reny nie mogły z pod twardej skorupy śniegu i lodu wygrzebać mchu cierpliwym kopieniem.

Do miejsca tego nie przybijały nigdy statki poławiaczy wielorybów, ani małe schoonery rybaków, ani ciężkie łodzie myśliwskie. Pięćdziesiąt kilometrów na wschód trzeba było iść drogą ciężką i niebezpieczną, żeby raz na rok poczynić niezbędne zapasy kul, prochu, soli i cukru, zapalek, whisky i najprymitywniejszych narzędzi. Wszystko inne, a więc mięso, tłuszcz, ryby, jaja ptasie i skóry na odzież lub sprzedaż, dawały tundra i morze.

Morze prócz ryb i skór foczych dawało również bezgraniczną tęsknotę i poczucie wiekuistej samotności. Prawie w przeciagu dziesięciu miesięcy cieśnina stała pod lodem i jedyne głosy, które wtenczas szły od morza, były to płacze i wycia wichru bezradnego i groźne ryki zgłodniałych niedźwiedzi. Od strony lądu szła wielka, majestatyczna, niczem nieprzerwana cisza, płonąca w dzień oślepiającą bielą śniegów, a w nocy fioletowo srebrną poświatą. Zaś na dalekiej, najdalszej północy szalała zima zorza północna, lejąc kaskady ostrego, nerwowo dygocącego światła. Wtenczas wszystkie psy Piotrowe zwierzały pustyni lodowej swoje psie tęsknoty i żale wiekuiste. Psy, narówni z człowiekiem, czuły swoje dośmiertne osamotnienie i na swój sposób tęskniły za ruchem i życiem w tłumie i gwarze.

Czy Piotr tęsknił — niewiadomo. Nie okazywał tego nigdy, bo i nie miał komu okazać. Na przestrzeni setek kilometrów nie było drugiego człowieka i tylko raz na rok widywał zawiedłe, stare, dzikie i okrutne twarze wilków morskich, gdy udawał się na umówione miejsce, o pięćdziesiąt kilometrów od swojej siedziby. Upijał się wtedy raz na rok w milczeniu i w milczeniu, za pomocą gestów jedynie i czasem rzuconego pojedynczego słowa zawierał transakcje, poczem wracał,

aby znów, na cały rok zagrzebać się w swojej pustelni.

Na wybrzeżu wschodniem Beringa znano go i szanowano, ale wiedzano o nim mało. Tyle tylko, że pochodzi z Polski i że od lat dziesięciu nie był w kraju. Kiedy młody Eżersy zapytał go raz — dlaczego nie wraca — otrzymał zamiast wyjaśnienia, straszliwy, druzgocący knock-aut, od którego powalił się na ziemię i długo nie mógł dojść do przytomności.

Po tem zdarzeniu szacunek dla Piotra zwiększył się znakomicie, ale nie stała się bynajmniej jaśniejszą tajemnica jego samotnego życia. Jednak ludzie na wybrzeżu mają tyle spraw własnych niezmiernie wagi, walka o byt tak całkowicie wyczerpuje ich energię i myśli, że nie mają poprostu czasu, ani chęci zajmować się cudzemi sprawami. Nazywano go w czasie targów dorocznych poprostu „człowiekiem z tamtej strony”. Wystarczało im to, że był dzielnym myśliwym, o czym świadczyły stosy cennych futer, które przywoził na sprzedaż i wielkie bryły tłuszczu. Imponowała im także jego wspaniała postawa i nadludzka siła, jak również to, że był hojny i poproszony o pomoc pieniężną, nigdy nie odmawiał. Wśród ludzi tych, od dziecka zaprawionych do najcięższej walki, gdzie życie jest nieustannem wydzieraniem się śmierci, panowała archaiczna, surowa uczciwość. Bez żadnych dowodów, poręczeń, świadczone sobie pomoc materialną, a zwrot był zabezpieczony jedynie mocnem uściśnieniem ręki i prawem nieodmiennej tradycji. Tylko, gdy dłużnika pochłoneło nigdy niesyte morze, lub jeśli zginał w walce ze zwierzęciem, wtedy dług spłacała śmierć i nikt nie miał o to pretensji.

Obecnie miesiąc czasu pozostawał do ruszenia lodów i rozpoczęcia zwykłych targów wiosennych, na które zawoził swą zdobycz z całego roku. Targi jesienne ograniczone do handlu wymiennego na drobne przedmioty i tran nie interesowały Piotra.

Gdy wiosna była jeszcze daleko w tym kraju lodów i śniegów, trzeba było wstawać przy świetle gwiazd i dalekiej łuny zorzy północnej. Piotr wstawał więc nie o świcie, a w nocy, znosił bryłki lodu na wodę i torfu na palenisko

gdzie je suszył, aby uczynić zdatnymi do palenia. Poczem przez kilka godzin sporządzał sanie i naprawiał uprząż. Kiedy kostki torfu odmarzły, wyciskał je pod prasą własnej konstrukcji, niby kawałki sera i rozpalał wielki, głęboki piec, służący zarazem do gotowania. Wtedy krajał wielkie połcie tłuszczu i suszonego mięsa na równe, długie paski, zastawiał sagan pełen lodu na zupe, karmił suszonym mięsem psy, poił je spartańską polewką, jadł sam i kładł się w ubraniu, oczekując świtu krótkiego, zimowego dnia. Kiedy pierwsze, różowe promienie jutrzeńki poczęły czynić cuda na śnieżnych polach i w mroźnym, błękitno-złotem powietrzu poił reny, zakładał im do zagrody siana i suszonych porostów, a sam zarzucał strzelbę na ramię, brał tasak do boku, zaprzęgał psy do sań i ruszał w świat.

Nie było dnia, żeby wrócił z pustymi saniami do domu. Bezkręśna tundra co dnia rozbrzmiewała odgłosem walki na śmierć i życie, w której nieodmiennie zwyciężał wielki, samotny człowiek. Czasami szła sprawa o skórę płaskoczaszkiego, nikczemnie spoglądającego z podełba białego niedźwiedzia i wtedy pustość dookoła brzmiała jego wściekłym rykiem i straszliwym ujadaniem psiej zgrai. Czasami, był to jedynie zbłąkany ren, lub nieostroźnie udający się na wędrówkę mors, któremu nagle, w głębiach morskich, wydawało się, że wiosna już przyszła. Wtedy jazgot psi brzmiał wszystkimi tonami triumfującego bohaterstwa i całym zapalem walki. Tchórzostwo wobec silnego i groźnego nawet po śmierci wroga i zapal na wypadek walki z przeciwnikiem słabszym, były to cechy psiej zgrai Piotrowej. Jeden tylko Piotr nie wydawał nigdy ani okrzyku bojowego, ani okrzyku zwycięstwa, a tem mniej strachu.

Milcząc szedł do walki, milcząc zabijał, w milczeniu powracał z łupem. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że pod powłoką śmierci słowa, tała się śmierć myśli. Burze daleko sroższe niż burze polarne, szalały w piersi Piotrowej, łamiąc, druzgocąc, niwecząc, zostawiając po sobie gruzy i zgłiszcz. Odbudowywał się cierpliwie, z tym samym nieodmiennym uporem, z którym walczył o życie, a kiedy doszedł do jakiej takiej

rekonstrukcji posiadłości ducha, burza wybuchała z nową siłą, straszliwsza i bardziej niszcząca niż poprzednia. Była to elementarna, okrutna, ssąca tęsknota jednostki ludzkiej, zagubionej dośmiertnie w bezmiarach świata. Walczył z nią okrutnie, dławił ją w sobie, szarpał potężnymi ciosami szyderstwa. Gdyby była czemś fizycznym, cielesnym, zatopiłby w niej wściekłe, mocne zęby i rwał na sztuki i ochłapy ciskał swoim zawsze głodnym psom. Ale ona była nieuchwytna, jak cień, podstępna, jak szakał i nigdy nie można było przewidzieć, z której strony uderzy.

Kiedy go naszła w momencie spotkania z wielkim, białym niedź-

wiedziem, lub starym wściekłym samcem rena, wtedy odwaga jego szalała i szalały straszne, stalowe, niepohamowane rzuty mięśni. Od-



rzucał precz strzelbę i rąbał tasakiem, a każdy cios był jak cios piorunu. Pokonawszy jednego wroga szukał innego, dopóty, dopóki śmiertelne znużenie nie wtrąciło całego ciała w senną niemoc. Wtedy wracał, częstokroć już koło północy, ale wraz nim wracała tęsknota i czyhała cierpliwie na chwilę zamyślenia. Długo karmił psy i obchodził swoje małe gospodarstwo, czując lęk przed bezsennością, głuchą nocą, ale w końcu wszystko było zrobione i trzeba było dopuścić do serca najstraszliwszego swego wroga, nigdy nieprzejednanego i niepokonanego żadnym, choćby nadludzkim męstwem.

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

8

ZATRZYMANY ZEGAR

(p o w i e ś ć)

I tak to idzie powoli, słowo za słowem, zdanie za zdaniem. Dziś już mój Teoś pisze bez błędu mnóstwo wyrazów, lepiej, niż jego koledzy ze szkoły. Umie się nawet podpisać z zakretem, zupełnie jak sekretarz gminy. Na wszystkich swoich książkach wykalgafował starannie: Teodór Rowiński. Gdzieś niedawno dopisał nawet: Z Klimontowiec.

Rozczuła mię jego przywiązanie. Niczem pies Bukiet. Patrzy na mnie z wyrazem uwielbienia, prawie modli się do mnie. W szkole nie spuszcza ze mnie wzroku, uważa na każde słowo, a po skończonych lekcjach czeka na mnie przed drzwiami, odprowadza do domu, odnosi mi zeszyty i książki. Niema prawie dnia, by nie zaszedł choć na minutkę, a zawsze coś chowa w zanadrzu: to jakieś nadzwyczajne jabłko, które babcia umyślnie dla mnie położyła na oknie, aby dojrzało prędzej, to znowu parę jajek od tej samej kury, czubutki, która zginęła i znalazła się cudownym sposobem, po tygodniu, daremnych poszukiwań... Wreszcie, gdy pewnego dnia przydygował całą głowę czerwonej kapusty, musiałam wydać stanowczy zakaz: żadnych jabłek, jaj, żadnych wiktuałów. Wolno Teosiowi ofiarować mi czasem parę kwiatków, ale nic więcej i to nie codziennie.

Uśluchał, choć miał do mnie trochę żalu o to. Teraz starannie odmierza czas przepisany i nagle pewnego dnia zjawia się w szkole z rękoma, pełnymi astrów, albo liści klonowych, purpurowych i złotych, które pozbiarał dla mnie w Klimontowskiej alei...

Dziś przyniósł tę piękną gieorgijnę i rzekł smutnie:

— To już ostatnia, proszę pani... Co ja dla pani w niedzieię wyszukam?

— Wyszukasz w swojej głowie jak się pisze „duży“ bo przecież ty już jesteś DÓŻY chłopiec i powinienś to wiedzieć, prawda? — odpowiadam, śmiejąc się i poprawiając w jego zeszytzie czerwonym ołówkiem ten błąd.

XII.

Coraz to bardziej pochłania mię szkoła. Zaczyna się ta sama, zwykła historia: żyję z nowym środowiskiem, obserwuję dzieci, ich charakter, ich sposób reagowania na różne przejawy życia. Staram się wnikać w ten świat, nad którym rządy przypadły mi w udziale.

Poznałam już imiona i nazwiska wszystkich mych uczniów, a teraz usiłuję poznać życie każdego z nich poszczególnie. Jest to wa-

runek nieodzowny, jeżeli pracę nauczycielską traktować poważnie. Te wiejskie, nieokrzeseane dzieci mają ogromnie rozwinięty zmysł krytyczny. Umieją odróżnić tandetę od istotnych wartości, umieją ocenić nauczyciela, jeżeli nauczyciel wkłada w swą pracę choćby iskierkę głębszego zainteresowania, choć cząstkę własnej duszy.

Dzieci — wszystko jedno, za-możne, czy biedne, zrodzone w środowisku intelektualnym, czy też zupełnie surowem, są zawsze bogatą glebą, na której wszędzie każde ziarno. Od dobrej uprawy tej gleby zależy przyszły plon. Zdanie pospolite, wytarte, lecz nie pozbawione przez to głębokiej mądrej prawdy...

Mam oto przed sobą trzydzieści istnień ludzkich, — trzydzieści główek dziecięcych, krecących się w prawo i lewo, trzydzieści par oczu błękitnych, czarnych i ty-leż par rąk, które do niedawna nie umiały trzymać ołówka. Zostałam kierowniczką dwóch najmłodszych oddziałów i bardzo jestem z tego rada. Ilekroć zdarzyło mi się pracować w podobnych warunkach, odczuwałam zawsze radosną dumę człowieka, który swój twórczy gmach buduje od samych podstaw, przerąbuje własne ścieżki wśród lasów dziewiczych, nietkniętych żadną cywili-

zacja, a więc nieokaleczalnych, nie oszpeconych w imię tej cywilizacji i kultury.

Najtrudniejszą przy orce rzeczą jest po raz pierwszy wbić pług w twardy ugor i wyprowadzić prosto pierwszą skibę. Inne już będą zależne od jej kierunku. Dlatego najtrudniejsze, choć i najmilsze są wszelkie początki.

Mam oto swoje dzieciaki przed oczyma. Trzydzieści mózgów prawie tak nieskazitelnie pustych, jak umyta świeża tablica. To, co przyniosły z domu, z otoczenia, to czysto zewnętrzna powłoka, którą zeszkrobać można, lub utrwalić, zależnie od jej wartości. A jaka to subtelna praca, ile wymaga uwagi... Możliwy ją chyba porównać z odkopywaniem cennych zabytków z grudy, czy skamieniałej lawy. Odłupywać trzeba ostrożnie, po kawałeczku, by nie uszkodzić, nie nadwerężyć kośćca...

W dodatku — ta nieufność naszego ludu do wszystkiego, co przychodzi od zewnątrz, rzekomo z góry, z „nakazu” — a więc przede wszystkim do szkoły i do jej przedstawicieli, figur rządowych, oficjalnych, narzuconych przez władze...

Jak dalece posunięta jest ta nieufność, przekonywam się ustawicznie, na każdym kroku. Ilekroć zaczynam wierzyć, że związek pomiędzy mną, a dziećmi, już się zacieśnił — dostaję obuchem rozczarowania po głowie.. Dzieci przychodzą do szkoły z głęboko zakorzenionym, a przez starszych umocnionym przekonaniem, że: „oni sobie — a my sobie”. Chowają więc skrzętnie jak najgłębiej każdą myśl bardziej własną, każdy szerszy odruch.

Muszą być grzeczne i zachowywać się na lekcji spokojnie, bo tego wymaga nauczyciel, ale one siedzą jak małe mumie, z wyrazem doskonałej obojętności na twarzy. Zainteresowanie lekcją jest w nich powierzchowne, udają skupienie, drżąc na samą myśl, że „pani” może zniechęcić otworzyć dziennik, wywołać ucznia, zadać mu pytanie i zapisać zły stopień. Ile to trzeba pracy, energii, tłuczenia głową o mur, by wydobyć jakąkolwiek odpowiedź z ust dziecka, które dopiero zaczęło chodzić do szkoły! Doprawdy, ciężka to praca, wykręsać iskrę bożą z tych malców, patrzących nieufnie z podełba na niosącą „oświaty kaganiec” ich kierowniczkę...

Zastanawiam się nad tem wszystkim głęboko, bo mię to głęboko dotyczy. Przecież ta szkoła, to mój teren pracy — to nie tylko

klepsydra mojego dnia, na której liczę z utęsknieniem, rychło się piasek pięciu męczących godzin przesyple — to także klepsydra moich czynów, skala, którą odmierzam własne zdolności życiowe.

Narazie — wgrzynam się w małe duszyczki, staram się przeniknąć ciemne zakamarki myśli, skrywanych zazdrośnie. A jak zazdrośnie chowają dzieci przedemną wszystkie przejawy swego życia, dowodzi choćby taki drobiazg:

Wkrótce po przyjeździe zdarzyło mi się widzieć zabawę tutejszych dzieci. Skupione na obszernym placu, noszącym szumne miano „ryнку”, bawiły się w jakąś grę, podobną do „Berka” a polegającą na tem, że po wypowiedzeniu dość zabawnej dialogu, przebiegały pędem, starając się nie wpaść w ręce goniącego je „pastuszka”. Dialog ten przytaczam w całości:

— Gęsi do dwora! — woła „pastuszek”.

— Boim - sia.

— A czego?

— A lisa...

— A gdzie on?

— A w lesie!

— Cóż on robi?

— Jajka niesie!

— Wiele zniósł?

— Kopa — dwa...

Po otrzymaniu tej informacji, że lis „naniósł” już do lasu kopę jaj, pastuch rzuca się ku gromadzie gęsi, by je połapać, a one zaczęły uciekać z piskiem, przewracając się i uciekając i popychając, przypominając zaiste spłoszone ptactwo domowe:

Po chwili uciszyło się nieco. Schwytane ofiary stały pod drzewem i znów rozpoczęło wstępną rozmowę:

— Gęsi do dwora!

— Boim - sia..

— A czego?

Wyłoniłam się z cienia kasztanu. Na ten widok zarówno „pastuszkowie” jak „gęsi” — zamilkli, wybałuszając na mnie oczy.

— Bawcie się dalej, — rzekłam — ja popatrzę.

Milczenie.

— No, czego tak stoicie? Czy może wam przeszkadzam?

Znowu milczenie głębokie, tylko gdzieś tam stłumiony chichot. Zaczęłam z innej beczki.

— A co to za zabawa taka? Czy kto was tego nauczył? Kto was nauczył? Sami tak wymyślili? No, jakże?

Po każdym zapytaniu stawiałem pauzę, czekając odpowiedzi, ale daremnie. Wreszcie odezwał się z gromadki głos jakiś:

— Ano... zabawa taka jest.

Tyle się dowiedziałam.

Postanowiłam jednak nie zrażać się. Niepytana i nieproszona, zaczęłam opowiadanie, jak to w innej szkole, gdzie przedtem byłam nauczycielką, dzieci bawiły się podobnie. Opisałam dokładnie tę grę, jak to tam mówią: „Boicie się czarnego luda?” — „Nie!” A potem wszyscy uciekają, tak, jak tu „gęsi” przed chwilą. Znam także wiele, wiele innych bardzo przyjemnych zabaw... Możeby chciały nauczyć się ich? Milczenie. Ciągłe milczenie, uciśnienie dla nich, kłopotliwe dla mnie.

— Czy nie będziecie się już bawiły? Nie? No, to do widzenia. Muszę już wracać do domu. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków! — odkrzyknęły chórem z przyzwyczajenia.

Odeszłam wolnym krokiem. Dochodząc do mieszkania burmistrza, usłyszałam wyraźne okrzyki:

— Gęsi do dwora!

— Boim - sia...

— A czego?

— A lisa!

Zabawa rozpoczynała się w najlepsze.

XIII.

Prawie cały dzień zaduszek spędziłam na cmentarzu.

Było tam słonecznie, choć wietrzno i chłodno. Ostatnie, brunatne, przegniłe liście, zalegające mogiłki, powymiatano już i pozgarniano w kopce. Od czasu do czasu unosi się z wiatrem jeden straceniec, jakby porwany żądzą lotu i pędzi, pędzi przed siebie, gna z cichym chrzęstem po ścieżkach piaszczystych, aż legnie kędyś na długi, złoty mowy spoczynek pod niskim murem cmentarza.



Cisza. Cisza i pustka. Żywi odeszli, zostawiwszy umarłym swym drobne dowody pamięci. Na niejednej mogiłce drga i chwieje się wątył płomyczek w lampce z barwnego szkła, na niejednej odcina się jaskrawą plamą od szarej, obumarłej darni świeża zieleni świerkowego wianka. Ktoś przyniósł papierowy bukiet i zatknął go w rozłupane ramiona krzyża, pochylonego ku ziemi, zmurszałego od mrozów i deszczów...

I ja przyniosłam swoje wianki. Plotłam je, kłując palce, z gałązek świerku i sośniny, naniesionej z lasu przez Teosia. Porozkładałam te wianki na szarej płycie kamiennej tak, że przykryły niemal doszczątnie napisy, ongi złożone, dziś poczerniałe i starte. Największy z nich, najwyraźniejszy, chociaż najstarszy, obwieszcza przechodniowi: Oto grób rodziny Klimontowskich...

A chcesz poznać lepiej, co kryje ta wspólna mogiła, to przybliź się i czytaj. Długi, długi, to poczet imion, z których niejedno brzmi już tylko w sercach pamiętliwych, choć starych...

Ciotka Eufemja lubowała się w długich epitafjach. Dlatego stary pan Klimontowski Hipolit, właściciel dóbr Klimontowce z czterema folwarkami, inicjator i prezes róż-

nych związków ziemiańskich i był sędzią powiatowy, zmarły w latach ośmdziesiątych, prosi o ciche westchnienie za duszę swoją każdego przechodnia. Dlatego Hani i Zdzisiowi, dzieciom Emilki, dostał się utwór rymowany, owoc natchnienia Balbiny, która wraz z „ciotką rodu“ ułożyła ten napis, dziś prawie doszczątnie zatarty. Ostatnie tylko słowa można odgadnąć raczej, niż odczytać:

Rodziców osierociły.
Same do nieba wróciły.



Dziwna rzecz: Stara dama, oschła i przykra w obejściu, niecierpiąca (pozornie) żadnych objawów czułości, potępiająca wszelki sentymentalizm — sama obmyślała te napisy na grobie, sypiąc, jak z rękawa, rzewnymi epitetami, wzdychając do pobożnych o dobre słowo, pograżając w żałobie rodzinę, bliższych i dalszych krewnych, przyjaciół, oraz życzliwych zmarłemu ludzi.

W rocznicę śmierci matka moja otrzymała na bocznej ścianie grobowca płytkę z czarnego marmuru, wypełnioną pochyłym pismem: „Helena z Klimontowskich Darowska, wdowa po ś. p. Antonim, artyście-malarzu, zgasła przedwcześnie, osieracając nigdy w żalu nieutuloną, jedyną córkę... etc.

Nieutulona w żalu córka, mała figa z zaplecionemi ciasno warkoczykami, chodziła co święto na cmentarz w N. z Balbiną i uczyła się na pamięć tych słów, sylabizując, ponieważ wtedy jeszcze słabo umiała czytać. Dlatego wyrył mi się w pamięci ten napis tak mocno, że do dziś dnia powtórzyć mogę bez zająknięcia: Helena z Klimontowskich Darowska, wdowa po ś. p. Antonim, artyście-malarzu, zmarła.. etc. (c. d. n.)

DR. WACŁAW LIPIŃSKI

Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina bractawska

(Ciąg dalszy)



im była Anna Jabłonowska, z jakim rodem nazwisko swe panięskie złączyła, w jakich warunkach ukształtował się jej umysł i charakter, czemu jej serce, miast tak modnych ówczesnie tkliwości pasterskich, poży i sztucznej prostoty, zwraca się ku realnej naturze, ku tym, którzy wyrosli z ziemi, jej solą żyją i potem własnej pracy ją zlewają?

Ród Jabłonowski pochodził z Mazowsza, ze wsi Jabłonowca, w dzisiejszym powiecie mławskim. Pieczętował się herbem Prus III i choć nie mógł w paragon iść z takimi domami magnackimi jak Radziwiłłów, Sapiehów, Potoczek, czy Lubomirskich — wcześniej

jednak wybija się szlachetnością i niezwykłością swych przedstawicieli. Jeszcze za Władysława IV jeden Jabłonowski, Jan Stanisław był załedwie miecznikiem kor. i podannym królowej Cecylii Renaty, lecz już on, jako niezbyt głośny dworzanin, musiał mieć jednak wzięcie i opinię wśród szlacheckiego społeczeństwa, skoro dwukrotnie w r. 1637 i 1640 marszałkuje izbie Sejmowej. Że był on wybitną indywidualnością, przerastającą ówczesne pojęcia szlacheckie, świadczy wystąpienie miecznika Jabłonowskiego na ekstraordynaryjnym sejmie w 1647 roku, kiedy to, gdy kilku ze szlachty, broniąc swych partykularnych interesów, groziło zerwaniem sejmu, oburzony miecznik zawołał: „Jestem posłem całej Rzeczypospolitej, a je-

śli nic nie sprawimy, rozejdziemy się, nie będziecie mogli mi ust przed królem zamknąć, żebym się nie uskarżył i nie protestował przeciwko tym, którzy ojczyznę bez żadnej obrony pozostawiają... Zerwał się huczek szlachecki, szlachetny miecznik przez opinię powszechną został potępiony i zakrzyczany, wystąpienie to jego świadczy dobitnie, jak niezwykle pojmował on swój obowiązek poselski, w tych czasach, kiedy posłowie stanowi reprezentowali jedynie swoje partykularne interesy, sprawy swych powiatów i województw.

Miecznik umiera wkrótce, zostawiając wdowę z domu Ostrożankę, córkę Jana Ostroga, wojewody poznańskiego, oraz syna Stanisława Jana, który nazwisko swego rodu opromienił na długo blaskiem

i chwałą. Za młodu, oddawszy się żołnierce kresowej, walczy pod Beresteczkiem, w 1655 r. w czasie oblężenia Krakowa przez Szwedów przedziera się stąd, wywołując królewskie insygnia, towarzyszy później wiernie Czarnieckiemu we wszystkich jego wyprawach, a od roku 1664, gdy zostaje wojewodą ruskim, w tej godności uczestniczy w wojnach przy boku Sobieskiego, późniejszego króla i obrońcy Wiednia i od tej chwili między wojewodą ruskim, a hetmanem polnym, a wkrótce wielkim Janem Sobieskim, zawiązała się przyjaźń dożgonna, która ród Jabłonowskich do większego blasku doprowadziła. W r. 1676 Jabłonowski zostaje hetmanem polnym, w sześć lat później otrzymuje buławę wielką. Jak silną był on indywidualnością, jak wysoko wzbił się nie tylko ponad szary tłum szlachecki, z którego wszak dziad jego jeszcze pochodził, ale i ponad możnowładcze rody — świadczy projekt stronnictwa francuskiego, usiłującego wynieść hetmana Jabłonowskiego na królewski tron. Czy zamyślał o koronie hetman wielki, jaki był jego stosunek do tych planów stronnictwa francuskiego, wykazują dopiero szczegółowe opracowania, w każdym razie o hetmanie, który ród swój tak wysoko wydzwignął, zachowała pamięć potomnych jak najlepsze wspomnienia. Ponoć w roku 1699, gdy pomimo traktatu Kozienickiego, Turcy zwlekali ze zwrotem Kamieńca i trzeba było dla przyspieszenia oddania twierdzy ofiarować olbrzymią sumę 20.000 dukatów chanowi tatarskiemu, Jabłonowski pieniądze te wypłacił, zaciągawszy w tym celu pożyczkę na warunkach bardzo uciążliwych. A kiedy syn czynił mu wymówki, że może ich to zrujnować, odrzekł stary hetman: „I ciebie zastawię, gdy idzie o dobro ojczyzny“... — To wyjątkowo wysokie, w ciągu dwu pokoleń wyniesienie się Jabłonowskich, dzięki wybitnym przedstawicielom ich rodu, rzecz prosta odbiło się na ich sytuacji majątkowej, która wkrótce stanie się magnacką. Stary hetman kupuje od Koniecpolskich część Ostrogszczyzny na Wołyniu, gdzie później w Lachowcach stała okazała rezydencja Jabłonowskich, kupuje dobra nad Bugiem, Wiprzem i coraz bardziej podnosi fortunę swego rodu, którą dalej rozwijają jego synowie.

Dzieci pozostawił hetman sześciorgo, najstarsza córka Anna przez małżeństwo z Rafałem Leszczyńskim, podskarbin w koronnym, podnosi splendor rodu, zostając matką Stanisława, późniejszego, tak nieszczęsnego króla polskiego.

a z synów Jan Stanisław, przechodzi do historii literatury, bawiąc się prozą i poezją, co późniejsi liczni Jabłonowscy z powodzeniem również uprawiali.

Tego to Jana Stanisława, wojewody ruskiego, autora znanej książki „Skrupule bez skrupułu“, syn — Jan Kajetan, książę Jabłonowski, był mężem Anny, głośnej roformatorki życia społecznego.

Już potomkowie starego hetmana wysoko cenili ród swój, pochodzenie, zdolność i stanowiska, jakie zajmowali w Rzeczypospolitej. Z nich Jan Kajetan, wojewoda bracki, będąc dalekim krewnym króla Stanisława Leszczyńskiego, wnukiem sławnego hetmana, rósł w dumę i pychę wzorem wszystkich prawie ówczesnych magnatów polskich z XVIII wieku. Chcąc do jak największej świetności podnieść stanowisko Jabłonowskich, nie cofał się przed wydatkami olbrzymich sum na kupno czy to orderu, czy to tytułu. Był grandem hiszpańskim, księciem i feldmarszałkiem Rzeszy, kawalerem orderu Złotego Runa, Ś-go Ducha, Ś-go Uberta i wielu innych pomniejszych, jeździł ustawicznie po wszystkich prawie europejskich dworach, mówił wieloma językami, słabo natomiast po polsku, co mu jednak wzorem ojca i braci nie przeszkadzało bawić się poezją, ową klasyczną poezją magnacką tych czasów, jakiej nie brak wśród Jabłonowskich, Sobieskich, Radziwiłłów, Załuskich, czy Lubomirskich. Wierszował więc i wojewoda bracki historie błibilne, legendy, dedykował je żonie i krewnym, słabym był jednak wierszokletą, gdy pisać o Józefach ze starego i nowego zakonu słusznie zaznaczał:

Chcącemu pisać, twe Józefie cuda
Nieznany cud będzie, jeśli mi się uda...

Z takim człowiekiem, zresztą kulturalnym i wykształconym jak wszyscy Jabłonowscy XVIII wieku i jak wszyscy równie pobożnym i do śmieszności zarozumiałym —



połączyła się węzłem małżeńskim Anna Sapieżanka, by zostać księżną Jabłonowską, wojewodzina bracką.

Urodzona w roku 1727, w czasach bezruchu i bezwładu Rzeczypospolitej, za pierwszego Sasa, z ojca Karola Kazimierza Sapiehy, generała artylerji litewskiej, i z matki Radziwiłłówny, pochodziła ze świetnego, starego rodu litewskiego, który wśród polskich magnackich rodów XVII i XVIII wieku najczystsza i najbardziej chwalebna ma kartę. Wcześniej straciwszy ojca, młodo zmarłego, Anna Sapieżanka wraz z braćmi Aleksandrem i Michałem obdarzona była ojczymem, którym był Józef Aleksander Jabłonowski, stolnik litewski, — upłynęły więc lata dziecińne młodej Anny z jednej strony wśród rodzinnych sporów między ojczymem a stryjami Sapiehami, sporów na tle majątkowym, z drugiej strony wśród niewątpliwie kulturalnego otoczenia domu Józefa Aleksandra Jabłonowskiego, który choć sam nie tęgi poeta, jednakowoż zasłynie później w całej Europie jako opiekun nauk i fundator słynnej akademji naukowej imienia Jabłonowskich w Lipsku. Ten wpływ domu Jabłonowskich, utrzymujących bardzo żywy kontakt z Zachodem, zapoznanych z prądami tam wówczas nurtującymi, bawiącymi się prozą, poezją, mecenasami nauki i sztuki — nie był bez znaczenia dla młodziutkiej Anny, która nie mogąc wynieść z dość scudzoziemczalego domu wielkich natchnień patriotycznych, niemniej wielu nowin mogła się nasłuchać, wiele nacytać, skorzystać, pozbyć się niejednego zadawnionego przesądu szlacheckiego.

Za mąż, jak na ówczesne stosunki nie wychodziła dość długo, gdyż mimo częstych swatów, nie dochodzących do skutku, oddała swą rękę dopiero w 24ym roku życia Janowi Kajetanowi Jabłonowskiemu, wojewodzie brackiemu, którego charakterystykę podaliśmy już wyżej. Obwożona początkowo przez grubo starszego męża, stryjecznego brata swego ojczyma, po wielu dworach europejskich, zapoznawszy się ze stosunkami zachodu, szybko jednak pozostawia mężowi swobodę wojażowania, osiadając na wsi, gdzie też po trzynastu latach małżeńskiego pożycia w r. 1764 zostaje ją śmierć męża.

Na Annę Jabłonowską spadają teraz liczne obowiązki, połączone z administracją i zarządem ogromnych swych dóbr, do czego się zabiera z niezwykłym zapałem, rozwijając na tem polu swą reformatorską działalność.

(c d n)

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

3

Pani Sheridan umarła w kilka miesięcy po tej rozmowie. Śmierć jej pograżyła lorda Edwarda w niepokieszonej melancholji, co smuciło jego bliskich i dziwiło nawet, gdyż wiedzieli, że młody człowiek ze swą naturą zapalną i wrażliwą dotychczas łatwo rozpłomieniał się miłością i łatwo zmieniał przedmioty uczuć.

Do poznania pięknej Pameli nie kwapił się, nie pociągała go wychowanka pani de Genlis, do której czuł awersję. Wielki pan i rewolucjonista, człowiek wytworny i prosy, nie mógł sympatyzować z czułościowością i hipokryzją francuskiej intrygantki, mimo, że był, jak ona, wyznawcą zasad Rousseau'a i entuzjastą Rewolucji.

Natomiast Sheridan, oplakawszy żonę z całą namiętnością swej gorącej duszy zwrócił szybko uczucia w stronę pięknego sobowtóra biednej nieboszczki. Zaofiarował cudzoziemkom gościnę w swym domu, wiedząc, że kłopoty pieniężne coraz bardziej je trapią, a niebawem oświadczył się formalnie.

Pani de Genlis znalazła się w niemałym kłopotcie. Autor "Szkół obmowy" mimo całej swej sławy i talentu, nie był wymarzoną przez nią konkurentem. Był już niemłody, był lekkomyślny, jak nim tylko Irlandczyk być potrafi i — co najważniejsza — zrujnowany finansowo. Wszak zdarzyło się pewnego razu, że podczas bankietu wtargnęli do domu komedjopisarza wysłańcy sądu, by za długi zająć umeblowanie. Sheridan pozbył się ich konceptem, jakby żywcem wyrwanym z komedji, ale jakaż to przyszłość dla młodej, niedoświadczonej dziewczyny z takim szafawilą? Z drugiej strony pani de Genlis bała się utracić jedyne protektora w obcym kraju.

Politykowała więc, a tymczasem los wybawił ją z kłopotu.

Księżę Orleański zawezwał nagląco córkę swą do powrotu.

Konwent wydał srogie prawa przeciw emigrantom i ich rodzinom. Obywatel Egalité czuł, że mu nie dowierzają. Z drugiej strony obiegały fantastyczne pogłoski, nie obce również pani de Genlis, że rojalisci, bawiający w Anglii, chcą porwać córkę „zdrajcy“, aby mieć

z niej zakładniczkę. Wychowawczyń, nie chcąc jeszcze utracić swego stanowiska w rodzinie Orleanów, zdecydowała się, choć z ciężkiem sercem, na powrót do Paryża ze swemi pupilkami.

20 listopada 1792 roku wyjechała, zegnana ze łzami przez Sheridaną, którego pocieszała obietnicą, iż wróci z Pamelą za dwa tygodnie, smutna, trwożna, niepewna przyszłości swojej, nie ustaliwszy losu wychowanki.

* * *

Co komu sądzone, to stanie się prędzej czy później. Lord Edward spotkał się z Pamelą na francuskiej ziemi.

W październiku jeszcze wyjechał, nie uprzedziwszy swej arystokratycznej rodziny, do Paryża, wielkiego kotła Rewolucji, której wzniosłe i płomienne hasła entuzjazmowały jego wrażliwą duszę i budziły patryjotyczne nadzieje.

„Edward na punkcie francuskich zasad równości jest zupełnie zwariowany — pisze jego przyrodna siostra, będąca echem opinii konserwatywnej rodziny — Nie można mówić przed nim o tłumie, on uznaje tylko słowo: lud. Jego porywająca wymowa zachwyca, ale mnie się zdaje, że ideał, jaki on sobie marzy, nie jest z tego świata...“

Tymczasem młodemu entuzjastcie wydaje się, że patrzy na cud, że ideał w istocie stał się ciałem! Upaja się, jak mocnem winem, zapalem ludności, obudzonym wiktoryą republikańskiej armji pod Jemappes. Jest obecnym na przyjęciu zwycięzców, bierze udział w bankiecie, wydanym przez angielskich „przyjaciół wolności“ w Paryżu dnia 19 listopada, któremu przewodniczy Stone. Zrzeka się uroczystości i radośnie wraz z innymi swych tytułów i praw feudalnych.

Przy akompanjamentie patryjotycznych pieśni grzmiały toasty na rzecz ludu Irlandji i jego praw do swobody. „Oby rząd angielski wziął przykład z Francji i przez mądre reformy zapobiegł rewolucji!“ woła generał Dillon.

Rząd dowiedziawszy się o tym „jakobińskim“ bankiecie i wystą-

pieniu Lorda Fitz Geralda, polecił wykreślić go z kadr armji angielskiej. Zmartwi to rodzinę, ale nie ostudzi radości zapaleńca.

„Na ulicy, wśród tłumów, cudowny entuzjazm. Robotnik, człowiek z ludu ściska się z przybyłym i mówi mu: Bracie! Zwycięstwa nasze są również waszą wygraną! Przecież my bijemy się o wolność całego świata!“

Tak pisał Lord Edward do matki 22-go listopada 1792 roku. Przy końcu listu dodawał: „Dziś idę na obiad do pani Sillery“.

* * *

W jaki sposób nastąpiło tak szybko zbliżenie się młodych ludzi, którzy, bawiać rok prawie opodal siebie, nie poznali się wcale? Napozór był to czysty zbieg okoliczności. Pan Sillery zaprosił swoje pupilki, natychmiast po przybyciu ich do Paryża, na przedstawienie opery Cherubiniego: Lodoiski. Ta nowa szlachta o „polskim“ temacie była sensacją dnia. Nic dziwnego, że poszedł na nią również cudzoziemiec. Lord Edward był w towarzystwie Stone'a, który przed kilku miesiącami gościł u siebie francuskie podróżne. Stone wprowadził irlandzkiego gościa do loży pani de Genlis.

Podobieństwo do zmarłej przyjaciółki uderzyło odrazu Edwarda, osobisty urok Pameli dokonał reszty. Był to prawdziwy „coup de foudre“.

Pani de Genlis patrzyła na to swemi bystreimi oczyma z radością, ale bez zdziwienia. O Fitz Geraldzie słyszała wiele od Sheridaną i innych znajomych. Być może, że w jej planach matrymonjalnych dla Pameli ten „czerwony magnat“ zapisany był na pierwszym miejscu.

Gdyż był to prawdziwy król wicz z bajki.

Młody, piękny, wielkiego rodu a przesadom urągający, czułego serca a twardej woli: „jedwab i stał“.

Dowiedziawszy się, że ten interesujący przybysz ma być w teatrze, poszła skwapliwie do loży swego męża ze swemi pupilkami, mimo, że upadała ze zmęczenia i troski.

Paryż nie wydał się jej tak zachwycającym, jakim jawił się oczom młodego entuzjasty. Dostrzegła wielką zmianę, zaszła od roku:

„W zachowaniu się ludu było coś przerażającego.“ Widziała, że książkę traci grunt pod nogami i gubi się, rzucając się na oślep w przymierze z krwawą partją jakobińską. Drżała o los męża, związanego ze szlachetną, a nie pojmującą realności życia Żyrondą, liczącego naiwnie na osobistą przyjaźń Dantona i Robespierre'a. Na razie udało się przynajmniej, dzięki poparciu dawnych znajomych, uniknąć aresztowania, które, według litery srogięgo prawa, groziło im jako „powracającym emigrantom“. Kazano im jednak do dwudziestu czterech godzin opuścić

Paryż i czekać za granicami Republiki rozstrzygnięcia sprawy.

Było to dla biednych kobiet ocaleniem, ale na razie napełniło je smutkiem. Postanowiono wyjechać do Tournai w Belgii, gdzie stała kwatery armia republikańska, a młody generał Egalité, Ludwik Filip, mógł się zaopiekować siostrą. Po drodze zatrzymano się w zamku Raincy, rezydencji Orleanów. Tamże dogonił podróżne lord Edward Fitz Gerald, który miał pertraktować z księciem w imieniu swego stronnictwa o sprawach irlandzkich.

Po cienistych alejach pięknego parku przechadzały się dwie pary: książę, ponury, zacięty, nie chcący cofnąć się z fatalnej drogi, która miała mu przynieść i niesławę i śmierć, półśłówkami odpowiadał

rozżalonej i gniewnej kobiecie Opodał tej tragicznej, grzechem i wyrzutami obciążonej pary, snuła się idylla dwojga młodych serc, pełnych różowego optymizmu i radosnej nadziei w przyszłość.

Nasępnego dnia, 23 listopada, wyjechała pani de Genlis, pożegnawszy milczącym uściskiem ręki dawnego kochanka, „potokami łez“, zapcznanego niegdyś męża. Przeczucie mówiło jej, że nie ujrzy już żadnego z nich. Księżniczka Adelaïda płakała rzewnie, opuszczając ojczyznę i ojca. Jedyne na twarzy Pameli, zwykle nieco sennej, „do róży białej podobnej“, świecił nieśmiało radosny rumieniec. Obok karety, uwożącej wygnanki, jechał lord Edward Fitz Gerald i oczy młodych uśmiechały się do siebie.

(c. d. n.).

Z CYKLU SYLWETEK

ZOFJA IWANOWSKA—OSSENDOWSKA*)

Mówią, że jedyną rozkoszą ludzi odchodzących są wspomnienia.

Tak—zapewne—dla tych, którzy mają czas na rozpamiętywanie.

Ale nawet ci, wprzęgnięci w kieraty robocze, miewają chwile, kiedy porywa ich nagle zwidzenie przeszłości i idą za nim, niepomni, co będzie z porzuconym kieratem?

Taką pokusą zwiedzenia lat dawnych jest dla mnie nazwisko, Zofji Iwanowskiej — Ossendowskiej.

Grywałyśmy razem w zespołach kameralnych — ona — młodziutkie dziewczątka i kilku przyszłych artystów. A czy może być węzeł silniejszy ponad to, co idzie z duszy do duszy, z serca wprost do serca, — ponad muzykę, za którą tęsknił Shelley, jak tęskni jałowy ugor za ciepłym deszczem i kwiat wędnący za mgłą rosną, a mózg ludzki za winem zaczarowanym (Oda do muzyki).

Istoty jej nie określił żaden jeszcze filozof. Jest, bo jest, bo musi być dla szczęścia ludzkiego.

Taine nazywa ją marzeniem bezcielesnem, błędną myślą, snem nieujęty w kształt dotykalny, pragnieniem bez celu i granic, bolesnym a podniosłym niepokojem serca, które rwie się do wszystkiego, a nie może przywiązać do niczego. I żąda dla niej półmroku, żeby — słuchając — odłączyć się od zjawy widomej i tonąć bezpodzielnie w atmosferze, która — być może — istnieje sama w sobie.

Muzyka — mówi ktoś inny — jest jak najsubtelniejszy kamerton nie wiadomego, przeczucie zaświatów...

Muzyka jest krainą olśnień, oczarowań i ocknień. Nie zapomina jej, kto błądził po niej. Więc — pamięć komeralnego zespołu, z którym błądziłam po kwietnych wirydarzach, — żyć musi we mnie zawsze. Beethoven, Schumann, Schu-

*) Z powodu koncertu własnego, który odbył się niedawno w Sali Konserwatorium, na budowę pomnika młodzieży poległej w obronie Warszawy 1920 r., oraz na XIII drużynę harcerską.

**) Zniosłam książkę Ossendowskiego „Wśród ludzkiej i leśnej kniei“ do zakładu paralityków, przy ul. Nowowiejskiej 38. Jakżeż wzruszający był widok tych ludzi półumarłych, tych zniecierpliwionych starców, którym jeden — najczelniejszy, ale przygwożdżony do fotela i łóżka na zawsze — czytał głośno dziwy łądów, mórz, gór syberyjskich. Jak oni słuchali! Jak z autorem orzeźwiali jego przygody myśliwskie, zapuszczali się w nieprzebyte puszcze...

Dać takim skazańcom godzinę zapomnienia, wskrzesić na chwilę gasnącą wyobraźnię, — już warto pisać, choćby grzmiały gromy jerychońskie świata całego.

Dawałam później tę książkę i inne jeszcze rodzinom uchodźców — inteligentów i rzemieślników, którzy długie lata przeżyli na Syberji. Tu była radość odnajdywania tak dobrze znanych podań i legend, krajobrazów, po tylekroć widzianych, awanturnych przygód, przeżywanych osobście. I tu — w rodzinie robotniczej — senior inteligent czytał głośno. Reszta — kobiety szycząc — słuchały. Zamiast pić w knajpie, spędzano czas przy książce. Radowano się nią i dziękowano bez końca za dostarczenie jej.

Czy nie warto pisać, żeby być tak czytającym?

bert, St. Saens, Czajkowski, Moniuszko — tria, kwartety, kwintety — czaru pełne wieczory...

Zofja Iwanowska, dzisiejsza pani Ossendowska, żona znanego autora i podróżnika, który budzi taki żywoty ruch w piśmiennictwie naszym, bo polemizuje z nim cała prasa i czyta go każdy, kto czytać umie,***) — Z. Iwanowska była najmłodsza z zespołu. Kończyła wówczas Konserwatorium warszawskie, ulubiona uczennica Barcewicza, którą mistrz zalicza dziś do pierwszorzędných wirtuożek skrzypcowych, podnosząc jej piękny, ciepły ton, skończoną w szczegółach technikę, a nadewszystko — wysoką muzykalność.

Z. Iwanowska należy do tych, przesyconych na wskroś intuicją muzyczną typów, które nawet bez talentu wykonawczego stałyby zawsze w szeregu artystów, jak są filozofowie, poeci, którzy nie napisali nigdy jednej nawet książki.

Miała lat sześć, kiedy zaczęła się uczyć. Skończyła w 17 roku Konserwatorium warszawskie jako laureatka i na dalsze studia wyjechała za granicę. W Paryżu — drogą konkursu — dostaje się do prof. Bertheliera w Grand Conservatoire.

Po dwóch latach, otrzymawszy II nagrodę, opracowuje program koncertowy pod kierunkiem Thompsona w Brukseli. Wyrusza następnie w podróż artystyczną po całej Rosji wraz z siostrą swoją, pianistką — Jadwigą Zaleską.

Niema zakątka — od Archangielska aż do Krymu, od Turkiestanu i Kaukazu do Litwy, gdzieby obie artystki nie zdobywały powodzenia.

Do chwili wybuchu wojny koncertowały co rok w Petersburgu, obdarzone wielkiem uznaniem znanego kompozytora Cezara Cui i wszystkich najwybitniejszych krytyków.

W 1912 r. udają się na koncerty muzyki słowiańskiej do Londynu, gdzie temperamentem swoim i bravurą poruszają chłodną zwykle publiczność angielską.

Wojna zaskoczyła Zofję Iwanowską na Kaukazie. Mimo grozy położenia nie przestaje koncertować, zapożyczając ludność miejscową z muzyką polską. Cały ruch artystyczny ogniskuje się dookoła niej. Poza koncertami urządza teatry amatorskie, opery dzieciinne, a nawet otwiera „Szkołę Rytmu“ według metody „Dalcroze'a“, którą studiowała w Warszawie i w Petersburgu. Liczba uczniów i uczennic dochodzi do 300, a popisy doroczne w salach publicznych budzą zachwyt ogólny. Dzieci wygnańców przeżywają w Szkole chwile radosne.

Położenie wychodźców polskich na Kaukazie staje się coraz cięższe.

Z każdym dniem wzrastają liczby ofiar wojny. Zofja Iwanowska, obdarzona silnym nerwem społecznym, organizuje „Dom polski“, gdzie znajdują przytułek i pomoc wszyscy złamani na duchu lub pozbawieni mienia rodacy.

Gdy bolszewizm zaczął szaleć w Rosji, a otworzyła się chwilowo możliwość powrotu do kraju, artystka nasza z ciężko chorym pierwszym swoim mężem, dr. Adamem Płoszko i dwoma synami przybywa do Warszawy, gdzie czeka na nią założona jeszcze przed wojną i prowadzona przez obie siostry Iwanowskie Szkoła muzyczna, która — mimo twardych warunków — nie przerwała swego istnienia.

Doktor Płoszko umiera wkrótce. Przychodzi rok 1920. Obaj synowie młodej wdowy zaciągają się do wojska. Loluś — harcerz XIII drużyny, ślicznie utalentowane chłopię, dusza — po matce — nawskroś artystyczna, przyszedł może genialny pianista — wstępuje do 223 pułku i z ks. Skorupką, z bohaterami których nazwiska zaryły się w kartach dziejów naszych na zawsze, idzie pod Radzymin. Matka, która dała ojczyźnie w ofierze, co miała najdroższego, wstępuje za synem do jego pułku jako sanitariuszka.

W nocy z 14 na 15 sierpnia wielki świt zwycięstwa. Bolszewicy odparci. Warszawa szaleje. Padają

sobie w objęcia wrogowie wczorajsi — radykał z narodowcem.

Niema stronnictw, frakcji, lewicowych i prawicowych odłamów jest jeden pijany szczęściem naród, przed którym nagle rozbłysła pełna wolność. Raduje się stolica, powiewają chorągwie. Od strony Pragi grzmiały jeszcze ostatnie kulomioty, a kordon wojska nie przepuszcza po za pomnik Mickiewicza oszołomionego tłumu.

Wdzierają się ludzie na dachy domów i drzewa najwyższe, żeby zobaczyć te resztki wojny. Wylega — kto żyw — na ulice ze śmiechem, gwizdem, śpiewem.

A tam — pod Radzyminem — opatrują rannych — zbierają martwe ciała. Pracują sanitariusze i sanitariuszki pod komendą lekarzy. Czekają wozy na tych, których można jeszcze przywrócić życiu i na tych, co odeszli bezpowrotnie. Jęk, szloch, groza w powietrzu.

Zofja Iwanowska pracuje wraz z innymi. Wielkie jej szafirowo-zielone oczy wypatrują, komu trzeba dać pomoc.

Wtem...

Takich godzin nie opisuje się, Cud — łaska pozwala jej przeżyć dla niewiadomych celów dla przeznaczeń, które jeszcze czekają, dla dni, które po tym jednym — najczarniejszym — przyjść muszą.

Matka znajduje ciało swego syna i wraca z niem i postanawia czcić pamięć bohatera do końca dni swoich. Zrozumiała, dla tego o żyć trzeba...

Nie zaznaje spokoju udręczone serce. Drugi syn zapada na tyfus plamisty. Umieszczają go w oddziale chorób epidemicznych szpitala wojskowego w Toruniu. Jedzie tam jako sanitariuszka: wraca po wyzdrowieniu chłopca.

Spełniała obowiązek matki wierne i do końca, a jednym drogowskazem było serce.

Wróciła do pracy, do muzyki matka Lolusia. Zadaniem jej życia stała się budowa pomnika na cześć młodzieży, poległej w obronie Warszawy. Na ten cel a także na XIII drużynę harcerzy, do których należał Loluś Płoszko, daje co rok własny swój koncert. Cierpienie pogłębiło jej talent. Zwrócił się ku staroklasycznemu kompozytorom, których traktuje z wielką powagą i wyczuciem stylu. Ton — ciepły, łzawy — drga całą skalą przeżyć. Zniknęła z estrady pogodna, roześmiana, pełna filuternego wdzięku artystka, którą Warszawa zna od dziecka. Staje przed publicznością siłą w skupieniu swem doj-

rzała, z którą liczyć się musi krytyka i melomani — znawcy.

Powagę i kult sztuki wykazuje Zofja Iwanowska nie tylko jako wirtuozka. Z takim samem namaszczeniem, z jakim gra, przystępuje do kształcenia młodych talentów. Całą duszą oddaje się uczniom i uczniom swoim. To też szkoła jej zdobywa pełne uznanie krytyków i publiczności.

Powtórne zamążpójście artystki otworzyło przed nią nowe widnokręgi. Podróżuje wraz z mężem po krajach egzotycznych.

Kilka miesięcy ubiegłej jesieni przebyła w północnej Afryce. Koncertowała w Algierze i Marokku, a poza muzyką interesowała się niezmiernie krajem i jego ludźmi. Nadewszystko zaciekały ją kobiety i dzieci w haremach, które zwiedzała w każdym mieście.

„Godzinami przebywałam wśród tych dzikich, a przepięknych kobiet zwierzątek, bardzo — mimo braku wykształcenia — inteligentnych i rasy, o tak dziwnie oryginalnej psychologii, że my, Europejki, ani rusz zrozumieć ich nie jesteśmy w stanie. Niewolnictwo mają one we krwi i znajdują w niem rozkosz — pisała w jednym z listów swoich.

Ma cały dziennik, pełen ciekawych spostrzeżeń i pragnie go wydrukować. Tyle w nim obrazów, które tylko subtelna wrażliwość artystki pochwytać może. Nie zwróci na nie uwagi członek naukowej ekspedycji, mającej z góry wytknięte cele i założenia.

W sierpniu r. b. prof. Ossendowski organizuje nową wyprawę — tym razem w głąb Afryki Środkowej. W drodze mają pp. Ossendowski zboczyć do Szwecji, Anglii, zatrzymać się na Węgrzech i w Holandji, gdzie artystka nasza zamierza koncertować.

Poza muzyką staro-klasyczną ukochała całą duszą muzykę polską.

— Tylu mamy świetnych kompozytorów i takie szczerze djamenty! — powtarza nieraz.

Wszędzie za granicą grywa poważnie utwory polskie, prowadząc stałą, niezmordowaną propagandę naszej twórczości muzycznej. Na najbliższe swoje występy ma już przygotowany cykl najcenniejszych utworów.

Tak to artyści nasi — nie oglądając się na państwowe subwencje ani urzędowe nominacje, sami, na własną rękę i każdy na swój sposób przypominają obcym Polskę. A trzeba przyznać, że ta samorzutna propaganda wydaje niejednokrotnie bujniejsze owoce, aniżeli suche, biurokratyczne, przy stolikach referendarskich przez niefachowców kombinowane wysiłki.

C. Walewska.

Z powodu książki Wacława Husarskiego p. t. „Malarstwo Nowo- czesne“

O sztuce plastycznej pisze się w Polsce niewiele. Wydawnictwa Akademii Umiejętności, monografie o poszczególnych artystach i artykuły sprawozdawcze wyczerpują prawie naszą literaturę z tej dziedziny.

Zresztą nietylko pod względem ilości, ale i jakościowo prace te niezawsze chlubnie świadczą o naszej wiedzy o sztuce.

W paru książkach z historii sztuki polskiej i sztuki powszechnej, które zostały dotychczas napisane przez autorów polskich, skąpe i rzadkie myśli, zakrawające na analizę wartości artystycznych, giną w powodzi omawiania treści obrazów, w materiale biograficznym i informacyjnym.¹⁾ Są to książki dawnego typu; nie dające najmniejszego pojęcia o sposobie, metodzie i kierunku badań, jakimi posługuje się współczesna historia sztuki.

Pozatem Olszewski napisał małe dziełko (streszczenie z Mycielskiego²⁾ o malarstwie polskim, Winkler dał próbę syntezy najnowszych kierunków malarskich (Formizm) Witkiewicz (junior) — dwie, mało znane książeczki z estetyki współczesnego malarstwa: Zrębowski — piękną, lecz trudną impresję o „Nihilizmie w sztuce“, Treter — studjum muzeologiczne: „Muzea współczesne“; Sobeski: „Filozofję sztuki“. Jest to prawie wszystko, co wydały ostatnie dziesięciolecia z książek o plastyce. Nie wspominać o kilku przekładach z historii i filozofji sztuki.

Jak sprawy te stoją u nas obecnie, poucza choćby artykuł p. Wł. Tatarkiewicza w jednym z ostatnich numerów „Przeglądu Humanistycznego“, do którego ciekawe i ciekawych odsyłam.

Tymczasem na Zachodzie we Francji, w Anglii, a zwłaszcza w Niemczech, piętrzą się monografie, analizy, syntezy, porównania, uogólnienia, badania systematyczne i niemal przyrodniczo ścisłe — a rezultaty ich przenikają w społeczeństwa w postaci rzetelnych, poważnych dzieł, o mniej lub więcej popularnem, czy naukowem ujęciu.

Czynimy krok w tym samym czasie, gdy tam postawiono ich sto.

To też książce pana Husarskiego należy się więcej, niż parę słów wzmianki. Na pustyni naszego piś-

miennictwa z historii sztuki, jest ona zjawiskiem niezwykle i niezmiernie pożądanem.

P. Husarski przez napisanie jej odwalił ciężki kamień; „odwalił“ kawał trudnej roboty.

Bo po pierwsze: sam cel pracy, danie syntetycznego przeglądu współczesnego malarstwa, jest zadaniem niezmiernie trudnem.

Powtóre: trudne jest uczynienie tego w sposób zwięzły i jasny.

P. Husarski nie ma w Polsce poprzedników, gdyż oprócz artykułów, rozsypanych po pismach nic u nas o sztuce współczesnej nie pisano.

Tymczasem sama sztuka plastyczna, a wśród niej i malarstwo, rozwija się w Polsce pięknie. Wiszące „w powietrzu“, związane z epoką sposoby widzenia, odczuwania i plastycznego kształtowania w linii, barwie i świetle — znajdują u nas swój wieloraki wyraz. Neoimpresjonizm, ekspresjonizm, kubizm, formizm, futurizm, passeizm i t. d. — to nazwy kierunków, które obijają się o uszy publiczności, istota jednak ich różnic i odmian, istota samej sztuki współczesnej pozostała niejasną dla „ogółu“, „kierunki“ malarskie zdają się wisieć w powietrzu, niezwiązane jakgdyby z żadną przeszłością!

P. Husarski sięga do końca XVIII wieku, w okres, poprzedzający Wielką Rewolucję, kiedy „miało się pod koniec“ świata absolutnych monarchij i w przeddzień narodzin do historycznej roli stanu trzeciego — wówczas łamały się dawne wartości, nabrały mocy nowe we wszelkich dziedzinach, a więc i w dziedzinie sztuki — i dochodzi do dzisiaj, do twórczych pomysłów Cezanne'a i jego następców, Picassa i jego szkoły.

¹⁾ np. Żmigrodzkiego: „Zarys Historji Sztuki.“

²⁾ Mycielski: „Sto lat dziejów malarstwa w Polsce.“



Ten łuk, rzucony poprzez obszar czasu od rococa do kubizmu i formizmu dzieli p. H. na cztery okresy, opierając podział ten na fakcie, że „każde pokolenie ma właściwy sobie wyraz duchowy, któremu odpowiada odrębne ujęcie formalne“.

Granice chronologiczne tego podziału są oczywiście ścisłe tylko do pewnego stopnia: rzeczywistość bowiem jest płynna i przegród nie znająca.

Po wyraźnem zaznaczeniu różnicy, istniejącej pomiędzy formą, a treścią duchową, przed ułożeniem których ostrzega czytelnika, p. Husarski rozróżnia w duchu teorii Wölfflina dwa zasadnicze typy formy, malarnej; klasycyzm i barok, które, przeistaczając się i zmieniając w zależności od epoki, stanowią jednak stale współistniejące sposoby artystycznego widzenia i kształtowania — z przewagą w danym okresie jednego lub drugiego.

Podczas gdy pierwszy wyraża się przez formę zamkniętą, zwartą, zbudowaną mocno, ujętą w wyraźną linię, — drugi, posługując się płamą malarską, światłocieniem, ruchem, zjawiskowością i niespodzianką, nie zna wyraźnych zarysów, tonie i rozplywa się w świetle lub w mróku przestrzeni.

Analizując na tej podstawie sztukę nowoczesną, p. Husarski ułatwia zrozumienie tak pozornie paradoksalnego w dziedzinie sztuki zjawiska, jak równoczesne istnienie namiętnego, przeciwstawiającego się kaprysom rococa, klasyka-Dawida — i praojca impresjonizmu — Goyi, którego sztuka tkwi korzeniami w baroku.

Obie tendencje stylistyczne przebijają się równorzędnie w Ingres'ie i u Delacroix, przetwarzając się u pierwszego w idealizm, u drugiego w tak zwany „romantyzm“, który u późniejszych przechodzi w studjowanie natury, w realizm (Millet, Corot).

Puvis de Chavanne i prerafaelici angielscy są znów klasykami nowego typu, barokowe zaś widzenie znajduje równoczesne ujęcie w realizmie i impresjonizmie (Courbet, Manet, Degas, Cezanne; impresjonizm barwy, linii i formy).

Te dwa głosy formy wypowiadają się i w malarstwie polskim, dając np. współcześnie Norblina i Orłowskiego — malarzy światłocienia i ruchu — i klasyczną sztukę Brodowskiego.

P. Husarski rozprawia się z rozpowszechnionym błędem przeciwstawienia klasycyzmu romantyzmowi. W plastyce pojęcia te należą do różnego porządku: pierwsze odnosi się do

formy — drugie wyraża pewne ujęcie duchowe, wymownym tego przykładem jest Grottger, którego romantyzm treści wybrał sobie ultra-klasyczną formę.

Na zasadniczym tym szkieletcie myślowym, rozsnął p. Husarski doskonale skonstruowany obraz dziejów malarstwa ostatnich stu trzydziestu pięciu lat. Przegląd ten dotyczy głównie Francji, skąd przede wszystkim idą nowe hasła Niemiec i Polski; zlekka zahacza o Hiszpanję i Anglię.

Książka jest zwięzła. Niema w niej gadulstwa. Wszelki balast anegdotyczny, życiorysowy, narratorski i opisowy został z niej usunięty.

Natomiast autor wprowadza trafne określenia stylów (Rococo 17 str.), charakterystykę psychiki czasów, z której zrodziła się nowa sztuka, dobrą analizę ewolucji i przeobrażeń stylów i przyczyn, które je wywołały — słowem czyni próby przedstawienia rozwoju sztuki z uwzględnieniem zasady, obowiązującej w tej dziedzinie, jak i w życiu, że niema wyciągniętej linii prostej, są tylko falowania, zygzaki, wzmożenia, osłabienia i nawroty, nagle skoki naprzód, cofania się i odchylenia.

W sztuce można odnaleźć ciągłość rozwojową o tyle tylko, o ile przyjąć, że w każdym zjawisku artystycznym tkwi wielość: rozwój jednego z czynników tej wielości stwarzać może pozorne niespodzianki.

Pracę p. Husarskiego czyni nową i świeżą — poza tematem — jej metoda. Autor wprowadza i omawia czynniki tylko istotnie ze sztuką, o której pisze, związane: analizuje wartości dzieł, przedstawia drogę rozwoju twórczości artystów.

Oprócz tych zasadniczych walorów książki podnieść należy ładny jej styl, dobry język, trafne użycie wyrazów dla osiągnięcia zwięzłości w charakterystyce i jasną budowę. Dobitne i wypukłe są charakterystyki Gericault'a, Corot'a; z zapałem i predylekcją pisane są stronic o Puviss de Chavanne i van Gogh'u.

Całość mieści się na 126 stronicach. Skrepowanie rozmiarami książki zmusiło autora do stosowania skrótów i skondensowania materiału.

Mam nadzieję, że nowe, rozszerzone wydawnictwo, pomnożone większą ilością ilustracji, ukaże się niebawem.

Należy zapisać na rzecz zasług Bibl. Dzieł Wyborowych pomysł wydania książki z dziedziny, która jakoby nie ma u nas czytelników. Rzeczywistość zaprzeczyła temu: książkę pana Husarskiego rozchwytyano.

N. Samotyhowa

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



KOLONJA AMAZONEK.

W pobliżu miasta bułgarskiego Szumli leży niewielka wioska Madara, sławna tem, że w niezbyt dalekiej jeszcze przeszłości stanowiła kolonję, zamieszkaną wyłącznie przez kobiety. Dzieło pewnego podróżnika francuskiego, wydane na początku ubiegłego stulecia, podaje następujące szczegóły o tem ciekawem osiedlu:

„Osada Madara liczy przeszło 2000 mieszkańców, są to jednak wyłącznie tylko same kobiety. Stanowią one rodzaj gminy, uznanej przez rząd, są zwolnione od opłaty podatków i posiadają różne przywileje. Są to przeważnie tureczki i mahometanki, nie osłaniają jednakże twarzy zasłonami, jak to nakazuje religja kobietom muzułmańskim. Osobliwa ta kolonja założona została przez kółko kobiet tureckich, które schroniły się w góry przed prześladowaniem mężów — za ich przykładem poszły inne, szukające schronienia przed zbyt ciężkimi warunkami domowymi i rodzinnymi — i oto w ten sposób powstała osada ściśle kobieca, w której znaleźć można przedstawicielki wszystkich warstw społeczeństwa tureckiego, od córek bogaczy i dygnitarzy aż do żon ubogich rzemieślników i rolników“.

Kobiety te przestrzegały zazdrośnie swej niezależności i rządziły się wewnątrz swej osady ustanowionymi przez siebie prawami. Mężczyznom wstęp do wioski był surowo wzbroniony. Niejeden śmiałek, który próbował się zakraść do tej niewieściej kolonji, został przez czujne strażniczki osady dostrzeżony i poturbowany tak dotkliwie, że stracił na całe życie ochotę do wkradania się na terytorjum wojowniczych amazonek.

Amazonkami też były rzeczywiste owe osadniczki. Miały one bowiem (jeśli wierzyć owemu podróżnikowi) obowiązek wyruszania w wypadkach wojny konno i zbrojno przeciwko wrogowi. Z pomiędzy tej kolonji wybierali także sobie sułtanowie i dygnitarze tureccy tancerki dworskie, cieszące się wielkiem powodzeniem i zupełną niezależnością. Kiedy ta osobliwa gmina niewieścia przestała istnieć —

niewiadomo dokładnie. Wiemy tylko, że istniała jeszcze przed stu laty.

SOLIDARNOŚĆ NIEWIEŚCIA.

Pisma francuskie donoszą o wyjątkowym fakcie koleżeńskej solidarności. Przed kilkoma dniami francuski minister oświaty udzielił znanej artystce, p. Suzanne Després, zaszczytnej odznaki Legji Honorowej, P. Després odmówiła jednak przyjęcia tego orderu, motywując swą odmowę tem, że nie udzielono go całemu szeregowi innych artystek francuskich, które, jak podkreśliła, „nie są wcale od niej gorsze“. Fakt ten stoi w związku z całym szeregiem bardzo surowych krytyk i napaści, z jakimi się spotykały artystki, których kandydatury przedstawiano do Legji Honorowej.

DZIELNA KOBIETA.

W ostatnim międzynarodowym zjeździe inżynierów w Londynie brała udział pewna amerykanka, pani Frank Gilbreth, wdowa po znanym w kołach przemysłowych amerykańskich inżynierze, kierowniku wielkiej firmy technicznej.

Pani Gilbreth jest pod każdym względem kobietą niezwykłą. Oznacza się ona tak fenomenalną zaiste energją, pracowitością i wytrwałością, że wzbudza podziw i szacunek każdego, kto tylko miał sposobność ją poznać.

Oto jak się przedstawia w krótkości życiorys tej młodej jeszcze, bo zaledwie czterdziestoletniej kobiety.

Wychodząc przed 20 laty zamąż, jako studentka wydziału przyrodniczo-matematycznego uniwersytetu w Kalifornji, postanowiła sobie pani Gilbreth ukończyć za wszelką cenę rozpoczęte studia i uzyskać dyplom doktorski. Przez następnych jednak 8 lat nie mogła tego zamiaru uskuteczyć, zbyt bowiem pochłonięty ją obowiązki macierzyństwa.

Już jako matka sześciorga dzieci powraca jednak ta dzielna kobieta na uniwersytet, podejmuje na nowo przerwana przed ślubem naukę i nie zaniebując w niczem swych obowiązków rodzinnych, opiekuje się troskliwie swoją gromadką, a najmłodsze maleństwo biorąc nieraz ze sobą do uczelni — kończy w przeciągu roku studia i otrzymuje tak gorąco upragnione świadectwo naukowe!

Odtąd staje się pani Gilbreth stałą i niezmordowaną współpracownicą swego męża, prowadząc wspólnie z nim jego biuro techniczne i dopomagając mu w pracy

teoretyczno-naukowej. Za jej to natchnieniem — jak sam przyznawał — oddał się p. Gilbreth studjom nad sprawą t. zw. „eficiency“, czyli wydajności pracy w przemyśle. W dziedzinie tej pan Gilbreth stał się niebawem bardzo wybitnym i cenionym specjalistą, napisał też parę dzieł naukowych i wygłosił cały szereg prelekcji w tym przedmiocie na różnych uniwersytetach europejskich i amerykańskich. „Wszystkich tych prac“ mówił nieraz p. Gilbreth tym, którzy podziwiali świetne wyniki, osiągnięte przez niego w tak krótkim czasie — „nie byłbym mógł dokonać, gdyby nie pomoc mojej żony. Ona mnie skierowała na tę drogę, ona mi dodaje wciąż ducha i podtrzymuje słabnącą nieraz energię, ona wreszcie dopomaga mi przez opracowywanie całego szeregu żmudnych i uciążliwych wyliczeń, prób, doświadczeń i t. d.

Jej to, a nie mnie, należą się właściwie wszystkie te owacje, które mnie spotykają“.

Pani Gilbreth jednak nie mogła towarzyszyć mężowi podczas tej „tourné“ po Europie: była właśnie zajęta pielęgnowaniem ostatniego, zaledwie kilkotygodniowego maleństwa.

Błogosławieństwo Boże nie opuszczało jej domu: po niespełna dwudziestu latach pożycia małżeńskiego pani Gilbreth jest dziś matką dwanaściorga zdrowych, ładnych i miłych dzieci, które wszystkie chowają się dobrze i uczą znakomicie.

Dzielną niewiastą potrafiła nie tylko pogodzić studia zawodowe i wspólną pracę naukową z mężem z obowiązkami matki i wychowawczyni, lecz i wykazała ponadto zdolność do zupełnie samodzielnej pracy. Owdowiawszy bowiem w roku ubiegłym, objęła zarząd wielkiego przedsiębiorstwa technicznego, prowadzonego przez jej męża, i potrafiła tak niem pokierować, że przyniosło ono niebawem przedtem rezultaty.

Oprócz tego kontynuuje ona prace naukowe swego męża, wydała już drukiem kilka broszur z tego zakresu, referat zaś jej, wygłoszony na wyżej wspomnianym zjeździe inżynierów, wywołał powszechne zdumienie doskonałym opracowaniem tematu i dokładną znajomością rzeczy.

Można więc — jak widzimy — być jednocześnie matką i wychowawczynią dwanaściorga dzieci, gospodynią domu, dobrą żoną, pracownicą zawodową, a nawet samodzielną kierowniczką wielkiego przedsiębiorstwa! Czyż nie jest to

wzór prawdziwej „kobiety nowoczesnej“, — takiej, jaką ona być powinna, ale jaką, niestety, najczęściej nie jest!

OFIARA ZABOBONU.

Pismo kobiet hinduskich „Stri-Dharma“ zamieszcza w ostatnim numerze opis tragicznego zajścia, którego ofiarą padła siedmioletnia dziewczynka, córka pewnego właścianina, mieszkańca wioski Mandla w Indjach Wschodnich.

Jak wiadomo, ludność Indyj dotychczas jeszcze zachowała wiele z pośród swych wierzeń i zabobonów, a praktyki czarodziejskie są tam (zwłaszcza w bardziej oddalonych od ognisk cywilizacji nowoczesnej zakątkach kraju) poprostu na porządku dziennym.

Rząd angielski pracuje już od wiełu lat usilnie nad wykorzenieniem takich przynajmniej z pośród tych obrzędów, które stają się powodem masowych nieraz morderstw, jak znane praktyki poświęcania dzieci na ofiarę bogini Kali-Dhurga, palenie wdów po śmierci mężów i t. d.

Ludność jednak trzyma się uparcie dawnych wierzeń i nieraz, pomimo wielkiej czujności władz zdarzają się po wioskach indyjskich obrazki tak tragiczne, jak ten, o którym mowa poniżej.

Syn pewnego zamożnego właścianina z Mandli, Mulchanda, zachorował ciężko na nieznaną nikomu chorobę. Wezwany przez zrozpaczonych rodziców znachor wiejski, leczył go długo, lecz bezskutecznie.

Stan zdrowia chorego dziecka wciąż się pogarszał, wreszcie chłopczyk zdawał się być już w agonii. Mulchand, będący rodzajem miejscowego „nababa“, obiecywał czarodziejowi złote góry, jeśli mu uleczy jedynego syna i spadkobiercę, w przeciwnym zaś razie groził mu zemstą i ogłoszeniem go za szalbierza i oszusta.

Czarownik postanowił chwycić się „ostatniego środka“. Zapowiedział rodzinie chorego, że przyczyną choroby dziecka jest „opętanie“ przez złośliwego demona i że jedynym sposobem uleczenia go — jest pozostawienie chorego w „kole magicznem“ przez całą noc w lesie, na pustkowiu, zdaleka od wszelkich osiedli ludzkich. Wyniesiono więc chore dziecko daleko za wieś i złożono je tam na całą noc w miejscu wskazanem przez znachora.

Środek ten jednak okazał się o tyle zawodnym, że biedny malec nie wytrzymał nocy spędzonej na zimowym chłodzie i wietrze.

Rankiem znaleziono go już martwego.

Wtedy, chcąc się uchronić przed gniewem Mulchanda, czarodziej oświadczył ponuro, że gniew bogini Kali, — „Czarnej Matki“ — jak ją zowią krajowcy — zaciążył nad rodziną zmarłego. „Umrzecie wszyscy, jeśli nie przebłagacie tego gniewu ofiarą krwi“ — zawyrokował.

Przerażenie ogarnęło zabobonnych wieśniaków. Cała wieś zeszła się na naradę: co czynić? Wreszcie uchwalono — złożyć bogini żadaną ofiarę.

O świcie, w głuchem milczeniu, zebrała się cała ludność okolicy na ustronnej polance, gdzie przedtem leżały zwłoki syna Mulchanda. Wyprowadzono najmłodszą siostrzyczkę zmarłego, siedmioletnią Rukhmanę i przystąpiono do straszliwej ofiary.

Najprzód ucięto biednemu dziecku mały paluszek u lewej ręki i krwią zbrzyzgano całą ziemię wokół, wymawiając przytem straszliwe zaklęcia. Potem powalono nieszczęśliwą ofiarę na ziemię, a obecni poczęli rzucać na nią kamieniami, grudkami ziemi, bić ją i kopać, dopóki nie wyzionęła ducha. Wówczas dopiero uznano gniew bogini za przebłagany i wszyscy rozeszli się do swych domów.

Władze rządowe zapatrywały się jednakże na to zajście z innego punktu widzenia, — skoro tylko bowiem wieść o tym wypadku doszła do miejscowego sędziego, wszczął on natychmiast dochodzenie śledcze. I oto kilka tygodni temu przed sądem stanęli: czarodziej, Mulchand i dwaj jego bracia — wszyscy oskarżeni o zbrodnię morderstwa.

Po dość długiej rozprawie, w której brało udział wielu świadków, sędzia wydał wyrok, skazujący wszystkich oskarżonych na śmierć za rozmyślne zabójstwo małej Rukhmany. Zarzut zabójstwa chorego chłopca upadł, gdyż trudno było dowieść, że śmierć nastąpiła wskutek zabiegów czarodziejskich, a nie jako naturalny wynik choroby.

Skazani odwołali się do sądu przysięgłych, w skład którego weszło czterech ławników z pośród miejscowej ludności. Ci nie tylko domagali się uchylenia wyroku pierwszej instancji, lecz zażądali wypuszczenia oskarżonych na wolność, twierdząc, że „w niektórych wypadkach ofiara krwi jest nie tylko dozwolona, ale nawet wskazana“. Sąd, uwzględniając niski poziom umysłowy oskarżonych i fakt, że działali oni zasadniczo w dobrej wierze, ograniczył się do najmniejszego wymiaru kary. Z. B.

OBRAZEK

„BOGATE PAŃSTWO I BIEDNI LUDZIE“

Pani Usia rachowała. Do końca miesiąca dziesięć dni jeszcze. Na życie 100 zł. — skromnie, bardzo skromnie — co najkonieczniejsze. Posługaczka 100 zł. — nie chciała ani grosza mniej. Paltocik Halinki — przenicowanie (z zeszłorocznego, podłużenie, dodatki, robota — 50 złotych, Kostjum dla siebie — (pięć lat już nosi jeden i ten sam — zdarła na strzępy — mowy niema o przeróbce) najoszczędniej licząc — na raty — 200 zł. Pierwsza — teraz zaraz — 40 zł. Dla Wacka półbuty i ze trzy pary skarpetek (już mu w biurze wszyscy na nogi patrzą — same dziury) — koło 50 zł.

Ona ma w kasie swoich — z lekcji — 150 zł. Wacek przyniesie dziś piątą ratę pensji (kapią, jak z łaski — co kilka dni po troszeczku) może 40, 50 zł... Ani rusz — końca z końcem nie związę. Co wykreślić? — Czego się wyrzec? — Jeść trzeba. Dziecko musi mieć paltocik. Ona, Wacek, już i tak jak żebraki.. Oboje pracują i mało, ciągle mało... Nawet na wyjazd letni nie wystarczy. Cały urlop w domu. A kto wie, jakie jeszcze nieprzewidziane wydatki.

Wczoraj, naprzykład, składka na stróża. Panie z kamienicy obchodziły wszystkich lokatorów. Sześć tygodni temu zbierały na pogrzeb pierwszej żony, teraz — na ślub z drugą. Dwa razy prawie w jednym miesiącu po 10 zł. — mniej nie było można. wszyscy dali więcej...

Niechby przyszła choroba.. Wzdrygnęła się.

— Boże, co ja mówię? — Po co wywoływać?

Przeżegnała się. Odmówiła Zdrowaśkę na odpędzenie złego i liczyła dalej.

Może te dodatkowe godziny Wacka jeszcze coś przyniosą. — Jak on pracuje! — Bez tchu — świątek i piątek...

Zegar wydzwonił ósmą. Wstała i podeszła do okna.

— Co to jest? — Ciemno, a ich jeszcze niema. Ta Walentowa też... Naparła się, żeby wziąć Halinkę. — Jak mogłam pozwolić?

Odcodziła od okna i wciąż wracała. Niapokój rósł. Wreszcie postanowiła wyjść naprzeciw dziecku.

Wyjęła płaszcz z szafy. Włożyła kapelusz na głowę. Wtem dzwonek. Halinka rozczarowana ze świecami, jak wypolerowane turkusy oczami — rzuciła jej się na szyję.

— Mamusiu, mamusiu, tak było ślicznie! — Pan Bolesław szedł najpierw z dwiema, później z jedną białą. Miała taki ładny bukiet... I tak ładnie śpiewali w kościele...

— Jak mogliście, Walentowo, tak długo trzymać dziecko? — Przecież to już pół do dziewiątej. Powinno iść spać, a jeszcze kaszka w lesie...

— Zaraz, zaraz... duchem wszystko. Ale proszę pani, co za ślub! To jakby jakiego hrabiego, albo wielkiego dziedzica. — Spóź-

nili się. Trzeba było przeczekać, aż piętnaście ślubów przed nimi. Ale żaden nie był taki. Jednym zapalali, innym gasili światła. Jakies bogate państwo — no, tak jakby nasz pan i pani — przyszli tylko tak sobie, jak na spacer — ona w kostjumie i kapeluszu, on w palcie. Tylko cztery świece im zapalił kościelny i aby dwóch świadków tylko. Pręciutko powtórzyli za księdzem, co trzeba i odeszli. To tak ludzkie mówili — że teraz bogate państwo inaczej się nie żenią, bo żeby pokazać biednym ludziom, że to nie takie ważne — ślub...

Ale za to nasz pan Bolesław... Jak zapalili mu wszystkie świece przy ołtarzu, jak zagrali na organach i zaśpiewali na chórze... pięknie, pięknie!... Sami śpiewacy wzięli 200 zł., a ślub — 1000 zł. Niedawno nieboszcze taki pogrzeb — też śpiewy i pański karawan, i na Powązkach, nie na Brudnie, i nawet wieniec i takie kartki duże — na słupach, na bramie... Podobno się zadłużył. Myślał, że od lokatorów będzie wszystko! Ale niektóre dali tylko po 10 zł., a jedna guwernantka — pięć! Więc narzeka. Panna młoda w welonie. A ludzi w orszaku — jak na odpuszcie!

Halinka, skacząc na jednej nóżce i odbijając się piętami od podłogi, klaskała w takt opowiadania Walentowej.

Naraz wdrapała się na kolana matki, ziewnęła, przetarła oczy.

— Mamusiu, tak mi się jeść chce.

Walentowa już przygotowywała... Ta kaszka w kuchni, ale coraz wchylała do pokoju głowę, zaprzętniętą ślubem pana Bolesława.

— Bo i tak. Wszystkie bogate teraz żenią się, aby zbyć. Niby to ślub, a nie ślub. Panna Wira jedna urzędniczka — też u niej posługuje. — Wyszła sobie z biura z kolegą. Trzy lata się znali i w jednym pokoju pisali — aż dopiero naraz żenić się... Do kościoła, jak stali. Też, aby tylko dwóch świadków. Czterdzieści złotych to kosztowało, bo przy bocznym ołtarzu. Ale co potem? Nawet żadnego wspominku — jakby się przeszło z ulicy na ulicę. I pan młody wprowadził się do panny młodej, bo ona ma większy pokój. Dawniej — kolacja na 50 osób — kucharz. Mieszkanie młodych, jak cacko. Teraz — wszystko na wywrót...

* * *

Panna Wira.. urzędniczka... Coś o niej gdzieś, kiedyś słyszała pani Usia.

Ach, już wie. Nawet nie słyszała, tylko czytała.

Była „Strzałka“ w „Bluszu“ o niej — jakies „Echo karnawałowe.“

Przetańczyła z kolegą biurowym szesnaście balów... Niby miała być tylko przyjaciół. Tak sobie powiedzieli. Aż tu... naraz... małżeństwo. al.

Prace naszych kobiet w „Roczniku pedagogicznym“

Zarzucono nieraz kobietom, że umysł ich nie jest zdolny do syntetycznych uogólnień, że raczej rolą ich w nauce i życiu jest pracowite i skrzętne gromadzenie materiałów, z których dopiero jakiś umysł twórczy wyłoni kształt doskonały.

Tymczasem rzeczywistość przeczy tym mylnym sądom. Twórczość kobieca staje się coraz więcej wszechstronna, coraz szersze obejmuje kręgi w literaturze, nauce i sztuce. Sądźmy jednak, że polem, na którym najbardziej się rozwinie, będzie zawsze praca wychowawcza i studia pedagogiczne z nią związane. Powiedzie na nie kobietę wrodzony jej instynkt macierzyński, zdolność do subtelnej odczuwania drgnień duszy ludzkiej.

Te uwagi nasunęło nam przeglądanie wielkiego, zbiorowego dzieła, jakim jest tegoroczny Rocznik pedagogiczny. Złożyły się nań liczne prace, tak męskie, jak i kobiece, ujęcie ich jednak w skoordynowaną całość, przejrzyste ułożenie dokumentów naszej pracy oświatowo-wychowawczej, w ten sposób, by każdy czujny obywatel kraju, znalazł w nich obraz całej naszej działalności w tym zakresie, są niewątpliwie zasługą redakcji, w skład której wchodzi trzy kobiety: prof. Joteykówna, jako członek komitetu redakcyjnego, p. Orszadzińska, jako redaktorka główna i p. Bronisława Kozłowska, jako sekretarka. Pracowały one z pomocą prof. Diksteina, prof. Świdwińskiego i Piątka.

Posłuchajmy co nam mówi „Słowo wstępne“ p. H. Radlińskiej, rozpoczynające podjętą pracę: „Polska organizuje wychowanie narodowe w chwili, gdy na całym świecie przetwarzają się cele, metody i instytucje wychowawcze. Szkoła bowiem musi się przystosować do powojennej psychiki nowego pokolenia, które dąży do stworzenia ideału człowieka i obywatela. Nie dosyć na tem, we współzawodnictwie międzynarodowym wychowanie odgrywać będzie przemożną rolę, chodzić tu bowiem będzie o uruchomienie wszystkich sił narodu, o wydobyć z głębi dusz ludzkich wszystkich talentów, które wyrokować będą o odniesieniu zwycięstwa w tym wielkim „wyścigu pracy“, cechującym czasy dzisiejsze!“

I właśnie „Rocznik“ ma być owym świadectwem, dowodzącym bezspornie, że Polska godna jest zająć wybitne miejsce w rodzinie wolnych narodów. „Słowo wstępne“ rejestruje przede wszystkim te prace, które poprzedziły moment odzyskania niepodległości i były poniekąd do niego przygotowaniem. A więc zaznacza postulaty wychowawcze, wysunięte przez kongres pedagogiczny, odbyty we Lwowie 1909 r., następnie stworzenie w 1915 r. Centralnego Biura szkolnego w Warszawie. Potem już idzie naturalny rozrost szkolnictwa i prac pedagogicznych w wolnej Polsce, nabierający szerszego rozpędu w 150 rocznicę usta-



nowienia Komisji Edukacji Narodowej, w którą to postanowiono utworzenie Instytutu badań w dziedzinie wychowania i nauczania im. Komisji Edukacyjnej. Projekt ten wchodzi obecnie w fazę realizacji.

W roczniku podjęto dwa zadania. Pierwszym z nich jest podanie w szeregu opracowań podstaw ideowych dla działalności wychowawczej, drugim zobrazowanie tego, czego już w tym zakresie społeczeństwo polskie dokonać zdołało.

Zajmijmy się pokrótce częścią teoretyczną o zasadniczym nauczaniu. Rozpada się ona na kilka działów. 1. Nauki pedagogiczne i kształcenie nauczycieli; 2. Zagadnienie szkoły twórczej; 3. Wychowanie fizyczne; 4. Nauczanie i programy szkolne; 5. Oświata pozaszkolna.

W pierwszym dziale spotykamy dwie prace kobiece: P. Joteykówny z dziedziny psychologii doświadczalnej, opartą na badaniach, dokonanych w Państwowym Instytucie Pedagogicznym i p. Grzegorzewskiej, omawiającej kurs psycho-pedagogiki dla dzieci anormalnych.

Interesuje nas przede wszystkim jednak dział, omawiający zagadnienia, związane ze szkołą twórczą, rozstrzygnięcie ich bowiem, wyrokować będzie o zaznaczonym w „Słowie wstępnym” współzawodnictwie naszym na gruncie międzynarodowym. Po ujęciu przez p. Rowidę kwestji ze stanowiska psychologicznego z uwzględnieniem danych historycznych o stopniowym rozwoju pojęć w tym kierunku, p. Orsza-Radlińska sprowadza całą sprawę na grunt praktyczny, omawiając rolę książki i biblioteki szkolnej w urobieniu pojęć wychowawców. „Nauczyć ucznia czytać” nie jest zadaniem tak łatwym, jakby się to zdawać mogło. A czytać, to znaczy rozumieć i przyswajając sobie myśli i pojęcia. Ostrej też krytyce poddaje autorka, łącznie zresztą z wielu wybitnymi pedagogami, dotychczasową „literaturę dla młodzieży”. Uczeń nie powinien przyjmować tylko rzeczy gotowych, ale musi wiedzieć, jak się tworzy naukę, musi kształcić swój smak na dziełach o wysokiej wartości literackiej. Bardzo ważną jest uwaga, że brak rozpowszechnienia czytelnictwa u nas i wąskość rynku księgarskiego wypływają z tego, że szkoła nie nauczyła „czytać” w rozumieniu tego słowa znaczeniu.

Obok pracowni fizycznej w szkole średniej, omawianej przez p. Ziemięcką i kooperatywy uczniowskiej, propagowanej przez p. Dąbrowskiego, p. Antoniewiczówna mówi o „ogrodach szkolnych”. „Dziecko uczy się tam cenić pracę własną i cudzą, odczuwa się od bezmyślnego szkodnictwa, przeprowadzając zaś szereg prac, często zgoła niełatwych, musi słą woli i muskułów pokonywać trudności, aby dojść do rezultatów. Poza tem ciągłość w rozwoju ogrodu szkolnego jest przykazaniem organizacyjno-wychowawczem.”

Z tych paru wskazań widzimy, że autorka zdaje sobie doskonale sprawę z naszych wad i niedomagań narodowych, i że pragnęłaby zapomocą tak prostego środka, jak celowa i skoordynowana praca fizyczna,

im przeciwdziałać. Szkoda, że tak ważnego zagadnienia, jakim jest współdziałanie domu ze szkołą, nie widzimy w „Roczniku” w ujęciu kobiecem. Opracowuje ją p. Rudnicki, zalecając jak najściślej współpracę tych dwóch czynników wychowawczych. Ważnem tu jest określenie dziedzin pracy wychowawczej dla Rad Rodzicielskich.

W dziale programów szkolnych nie spotykamy też pracy kobiecej, jest to pewne zrezygnowanie z naczelnej roli kierowniczkiej w szkolnictwie, wynagradza nas za ten zawód doskonale określenie najważniejszych zagadnień oświaty pozaszkolnej przez p. Orszę-Radlińską. Odnajdujemy tu dalszą kontynuację tych zadań, które tak dzielnie spełniały kobiety polskie w czasie niewoli, broniące nasze masy ludowe od ciemnoty i zdziczenia. Pomimo jednak głębokiego uznania dla tych prac syzyfowych powtórzyć musimy za autorką „Zagadnień”, że oświata pozaszkolna może się rozwijać i stwarzać wielkie dzieła tylko w warunkach wolnych. Wtedy można oprzeć cały system na organizowaniu samokształcenia i samowychowania, krzewić kulturę umysłową, ugruntowaną na ideach zasadniczych, budzić zainteresowanie niem, skierować na nie wysiłki i podtrzymać je umiejętnie.”

Działalność kulturalna obejmować też winna wszystkie sprawy dnia codziennego, aby móc podnieść stopę życiową przez udoskonalenie warunków gospodarczego rozwoju.

Nie mogę dość gorąco polecić Czytelniczkom „Bluszczu” działu informacyjnego „Rocznika”. Znajdą tam one bogaty zbiór wiadomości o tem wszystkim, co się w Polsce stwarza w dziedzinie oświaty, szkolnictwa i kultury w zestawieniu z odnośnymi stosunkami zagranicą. Ta ostatnią kwestją zajęła się p. Sokalowa, która ją oświeciła w następujących artykułach: „O austrijskiej reformie szkolnej”, „O wszechbrytyjskiej konferencji oświatowej”, „O międzynarodowej opiece nad młodzieżą w Biurze pracy.”

Informacje o szkolnictwie w Polsce ułożyła p. Radlińska wspólnie z p. Zdrojewskim. Szeroko uwzględnione są kroniki: polska i światowa, pierwsza z nich opracowana została nader drobiazgowo przez pp. Radlińską i Kozłowską. Druga przez pp. Radlińską, Sokalową i p. Sedlaczka. Uzupełnieniem tych działów jest bibliografja.

I. W. K.

Z KSIĄŻEK

Kazimierz Wierzyński „Pamiętnik miłości,” poezja. Tow. Wyd. „Ignis.”

Kiedy cztery lata temu spotykałem przegodnie Kazimierza Wierzyńskiego, dostrzegałem, poza złudą młodzięczego rozwichrzenia, pewne znużenie, zapowiedź zmęczenia ledwo uchwytną, ledwo dostrzegalną w kąciach ust i oczu. Jego radosna, ojętana życiem poezja nie zwiódła mnie bynajmniej. Wiedziałem, że ten szczerzy poeta, jeśli ma tworzyć, jeśli ma pozostać w trudnej i świętej służbie sztuki, musi zmienić swój beztroski ton na nutę zamyslenia, musi poważniej spojrzeć w życie.

Istotnie, chociaż ostatni tem poety „Pamiętnik miłości” nie mówi jeszcze wyraźnie o stosunku poety do życia, o jego cierpieniach, poszukiwaniach i klęskach, jest jednak czemś zupełnie innem, niż poprzednie. Coraz wyraźniejsza jest nuta melancholji, coraz dobitniej zaznacza się smutek i coś niby gorzkość zawodu wyczuwa się w niektórych wierszach. Tem lepiej. Po latach bezkrytycznego uwielbienia życia musiała przyjść refleksja, niezadowolnienie, smutek. Jest to zazwyczaj u innych poetów pierwszy okres twórczości, ale Wierzyński jest we wszystkim inny, zaczął od tego, na czem niektórzy poważni twórcy kończą, zaczął od uwielbienia życia. Obecnie należy się spodziewać, że w miarę dojrzewania duchowego poety, w szarpiącej się już zmęczonej duszy jego zacznie wytwarzać się stan równowagi, stosunek do życia pogłębi się, a jednocześnie stanie bardziej spokojnym, męskim, określonym.

Wierzyński ma duży talent, tem więcej należałoby od niego wymagać i tem więcej można się po nim spodziewać. Co do formy wierszy, zawartych w zbiorze, to są one wzorem prostoty, wdzięku i nierobionej szczerości. Słowo Wierzyńskiego jest mu najzupełniej posłuszne, oddaje całkowicie każde wzruszenie, każdy zachwyt, każdy smutek, choćby najbłahszy. Jak zwykle wśród wierszy bardzo dobrych, utrzymanych w tonie i w rytmie, bez skazy zdarzają się utwory chybione, nie pełne, błahe. Do takich zaliczam „Klinikę lalek”, „Marsz Triumfalny” i kilka innych. Ale ileż artyzmu, wdzięku, bezpośredniości mieści się za to w takich wierszach, jak „Smutek”, „Głowa”, „Pojednanie”, „Prawda i serce”, „Ucieczka.”

Nie cytuję żadnego z nich, gdyż pragnę zmusić w ten sposób Czytelniczki „Bluszu” do nabycia tomiku, który wśród powodzi przeciętnych produkcji poetyckich wybija się na jedno z miejsc czołowych. I wyznam zupełnie szczerze, że sam wracałem po kilka razy do tego zbioru, i że wdzięczny jestem serdecznie autorowi za chwilę prawdziwej rozkoszy estetycznej i emocji, jaką zawsze pocie daje inny poeta, przez wydobywanie nowego nieznanego tomu.

* * *



Zofia Dąbrowska i Zdzisław Roykiewicz
„Rytmy przestrożeni,” Warszawa, 1925 r. Nakł.
Koła Artystyczno-Literackiego „Smok.”

Jest w tych poezjach odwaga zrywania z szablonem, przełamywanie rytmu, używanie rozsądne i celowe asonansów. Roykiewicz, bardziej zwarty i świadomy celów swej sztuki, czyni śmiały eksperyment futurystyczny w wierszu „Burza” do którego nawet podaje komentarz. Roykiewicz propaguje „supremację intelektu” a jednocześnie wyznaje, że jest „sensualistą!” Niebardzo to da się pogodzić. Zresztą mogłem źle zrozumieć komentarz, wyznaje jednak, że „Burza” interesująca jako eksperyment psychologiczny, nie ma nic wspólnego z poezją. Dużo poezji jest w wierszach „Rozprawa,” „Przemiany,” „Dwa dni.” Roykiewicz zapowiada się bardzo ciekawie, szkoda tylko, że wzorem wlelu młodych rozprasza swój talent na drobiazgi zewnętrznych przejawów życia. Czyżby aż tak był sensualistą?

Zofia Dąbrowska skupia swoje efekty poetyckie dokoła soczewki oka. Jest malarką i dobrą malarką słowa. Obrazuje niezwykle śmiało i oryginalnie. Jest nowa, odważna, inna. Teraz należy tylko nieco skryzalizować uzyskane wyniki formalne. Znać nietylko talent, ale i poważne studia nad estetyką słowa. Życzę jej, aby jak najprędzej wyzwoliła się z tyranii nadmiaru słowa, a sięgnęła głębiej w istotę nietylko sztuki, ale i życia. J. W.

Z TEATRÓW



TEATR POLSKI

„Nowi Panowie” (Le nouveaux messieurs). Komedja w 4-ch aktach Roberta Flers’a i Franciszka de Croisset’a. Przekład Bolesława Górczyńskiego. Reżyserja Ryszarda Ordyńskiego. Dekoracje St. Śliwskiego

Jest w tej komedji dowcip, który można sprowadzić do kilku zaledwie dobrych powiedzeń, jest fabuła — tysiąc razy przetrawiona przez komedjopisarzy i milion razy przesunięta poprzez deski teatralne. A jednak i dowcip i treść komedji razem

wzięte, dają wieczór dobrej wesołości i miłej zabawy.

„Nowi Panowie” to dzieje romansu podstarzałego hrabiego de Montoire Grandpré z młodziutką szwaczką, — a właściwie przyszywaczką, której hrabia dał nietylko nazwisko ładnie brzmiące — Zuzanny Vervier, ale dał pięknie umeblowany pałacyk, uroczą położoną wiejską rezydencję i... dzięki swym stosunkom i koneksjom zaangażowanie do Komedji Francuskiej. Dlaczego to uczynił? Bo chciał zająć myśl i wyobraźnię młodej i głupiutkiej dziewczyny — by już niestarczyło jej czasu ani na miłość — ani na zdradę.

Hrabia de Montoire jest zbyt stary, by zdobywać miłość i zbyt trzeźwy, by mieć złudzenia, ale za to jest tak energiczny, tak pomysłowy i przewidujący, że otoczy dziewczynę siecią swej opieki i nie dopuści, by mała rybka wymknęła się mu z rąk. Rutyna — jak to bywa w komedjach, a często zdarza się w życiu — bierze górę nad niedoświadczeniem, choć pełnem ognia uczuciem Jakóba Gaillaca. Zuzanna dla hrabiego porzuci młodego robotnicarza — elektromechanika, Jakóba Gaillac’a, który przez miłość dla niej i tylko dla niej zostanie posłem i ministrem pracy.

Flers i Cxoisset prowadzili Jakóba Gaillaca po drabinie kolosalnej kariery i rosnących dostojęństw nietylko dla tego, by po raz tysięczny stwierdzić że przemożny wpływ wywrzeć mogą na losy mężczyzny — migocące wśród drugich rzęs cudne oczy kobiece, ale i dla tego, by móc przy tej okazji sygnąć garścią dowcipu na temat rewolucjonistów i ustroju republikańskiego. To też akt drugi — który nas wprowadził do gniazda rewolucyjnych hasel strejkowych był najlepszy — bo poprostu na ten temat mieli autorzy najwięcej dowcipów do powiedzenia.

Wśród artystów na miejsce czołowe wysunął się Jerzy Leszczyński (Jakóbe Gaillac) nieznównany w akcie trzecim jako minister pracy. Stanisław Stanisławski w roli hrabiego de Montoire był elegancki, dowcipny. W rolach epizodycznych doskonały był Janusz Warnecki, „zredukowany moralnie” sekretarz ministra, i Małkowski — woźny senatu. Zresztą cały sespół wywiązał się z zadania bez zarzutu. Zuzanną Vervier — była p. Malicka — która jeżeli nawet mało wczuła się w rolę przyszywaczki paryskiej — grającej rolę dystygowanej damy w salonach hrabiego, to jednak — bardzo po parysku nosiła śliczne tualety z pracowni Hersego.

p.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem firmy wydawniczej E. Wende i Ska ukazały się następujące dzieła, — wchodzące w skład t. zw. „Biblioteki groszowej Wendego:” nowele Guy de Maupassant’a „Panna Fifi,” powieść historyczno-obyczajowy J. I. Kraszewskiego „Ostatni z Siakierzyńskich,” oraz, interesujące i z dużym zacięciem satyrycznym pisane szkice Brunona Winawera p. t. „Lepsze czasy.”

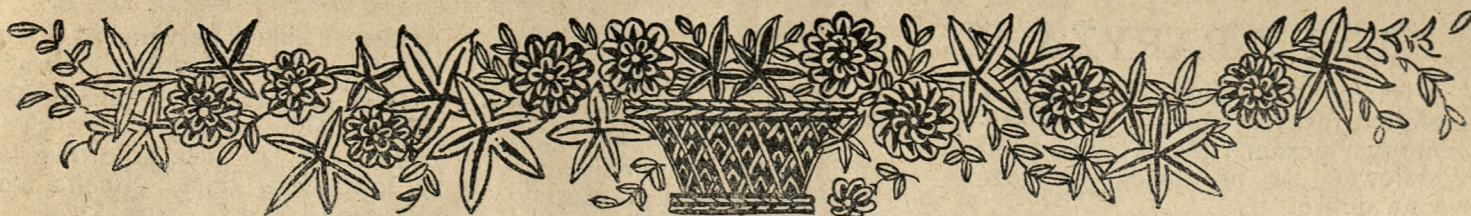
Jako wydawnictwo firmy Fiszer i Majewski w Poznaniu ukazało się bardzo interesujące dziełko dr. Juliana Gawrońskiego p. t. „Szkoła Odrodzenia, prodrom nowego wychowania i nowej szkoły w Polsce współczesnej.”

Drugi numer miesięcznika „Odbudowa gospodarcza,” redagowanego przez L. W. Biegeleisena, zawiera artykuły treści następujące: „Ekonomiczne pobudki Anglii rządzenia Europą” W. Włocha, „Odbudowa budownictwo mieszkaniowe” L. W. Biegeleisena, „O program polskiej polityki zagranicznej” Wł. Tetmajera, „Samorząd gospodarczy jako postulat polityki ekonomicznej” M. Bileka, „Architektoniczne podstawy budownictwa mieszkaniowego” S. Syrkusa i t. d. Numer zawiera ponadto obszerną rubrykę „Przegląd gospodarczy” oraz dwie rubryki w językach obcych. „Revue economique” i „Wirtschaftliche Mitteilungen.”

Drugi numer poważnego czasopisma muzycznego „Wiadomości muzyczne” zawiera początek obszerniejszej, a bardzo interesującej pracy Mgr. A. Kwiatkowskiego „Muzyka i śpiew kościelny w świetle prawa kanonicznego,” „E. Wrockiego „Z dziejów drukarstwa nutowego,” wiadomość o kompozytorze duńskim Nielsie Wilhelmie Gade, twórcy pieśni na cześć Polski „Czemu fale Wisły tak wezbrały,” pieśni, śpiewanej do dziś dnia przez każde dziecko w Danji. Artykuł ilustrowany jest odbitką tekstu muzycznego tej piosenki oraz portretami Gade’go i innego współczesnego mu przyjaciela Polski, Carstena Haucha, autora powieści „Rodzina polska,” napisanej pod wrażeniem rewolucji listopadowej.

Dalszą treść numeru stanowią artykuły: „Opera w Polsce porozbiorowej” Z. L., „Moniuszko a teatr wileński w r. 1859—60” Dr A. Millera, głos A. Wieniawskiego „W kwestji Filharmonji ludowej,” T. Joteyki „Walka o prawa muzyki polskiej” i t. d.

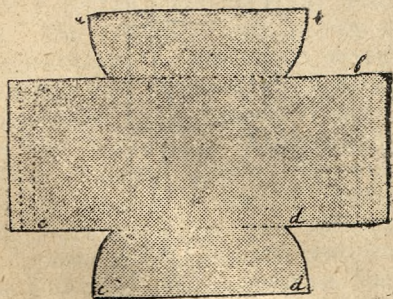




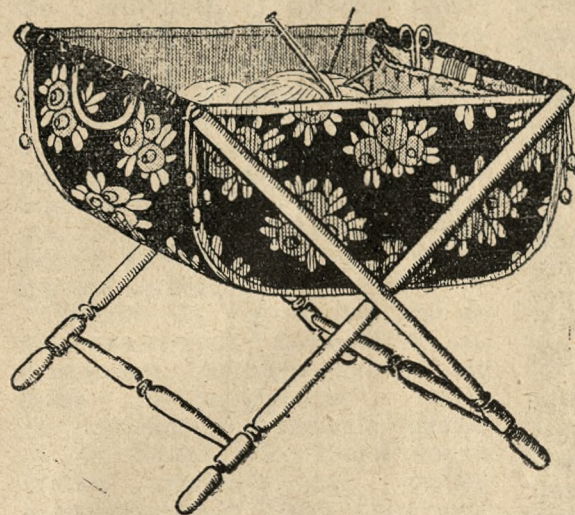
KOSZYCZEK DO ROBOTY

Improwizowany ten mebelek wdzięczny i użyteczny, o ile zręcznie i gustownie będzie zrobiony, postawić można w bardzo eleganckim pokoju. Do lakierowanej spirytusowym lakierem podstawy z drewna przytwierdza się woreczek z kretonu lub innego materiału w deseń, wykończony podszewką i torsadką, a przybrany dobranymi kolorami, drewnianymi paciorkami. Rysunek 1 wskazuje, w jaki sposób kraje się woreczek, którego rozmiar powinien być zastosowany do postumentu — biorąc pod uwagę, że średnia wielkość jest zgrabniejsza.

Szerokość małych boczków musi być dostosowana do szerokości poprzecznych listewek postumentu.



rys. 1.



Krając trzeba dopuścić na długość materiału i podszewki, aby niemi nakryć listewki które przy końcu roboty obszywa się mocną nitką. Po zeszytciu worka z czterech stron przymocowywa go się (rys. № 2) do polakierowanej podstawy.

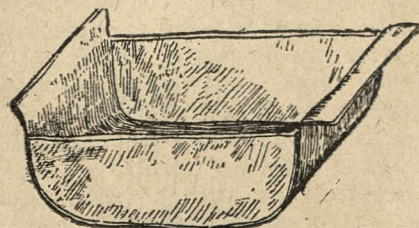
Dłuższe boki muszą być długości takiej jak oddalenie od siebie nóg rozstawionej podstawy. Głębokość woreczka powinna być równa połowie wysokości postumentu, rogi zaokrągla się dla nadania ładnego kształtu.

Chcąc zdać sobie sprawę z wyglądu zrobionego mebelka — trzeba podług zastosowanych rozmiarów

przykroić woreczek z rzadkiego muszlinku i przypiąć go szpilkami do podstawy, aby zobaczyć efekt całości.

Podług tego wzoru skrać z wybranego materiału wszystkie części, nadpuszczając na szwy. O ile materiał jest dosyć gęsty i ładny po lewej stronie, robi się woreczek bez podszewki, zeszywając

go t. zw. francuskim szwem — w przeciwnym razie dobiera się odpowiednią tonem podszewkę, kraje się ją i zeszywa tak jak wierzch, składa się szwami do środka i zeszywa na okrętkę, przykrywając szwy torsadką. Z wstążki, dopasowanej kolorem, robi się uszy i ozdabia koszyczek drewnianymi paciorkami.



rys. 2.

LIST Z PARYŻA

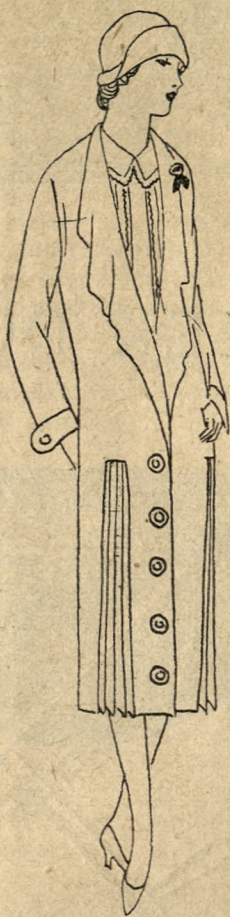
Nareszcie po długich wahaniach słońce raczyło ukazać się stęsknionym oczom i jak władca zainstalować się na dłużej, a może i na dobre.

Szczęśliwy to prawdziwie zbieg okoliczności, bo stałe zimno i niepogoda zaczynają nas niepokoić co do wiosennych naszych tualet, które już od miesiąca pokutują w szafach. Kiedyż nareszcie, jeżeli nie teraz, mamy prawdziwy pretekst roztoczyć cały blask naszej urody! Stroi się natura — idźmy za jej przykładem.

Nie brak wśród nas takich, które żyjąc w świecie wielkiej mody, otrzymały już oddawna w postaci eleganckich karnecików, imienne zaproszenia na przegląd ostatnich kreacyj przedstawicieli wielkich Salonów paryskich.

Z pośród setek wielkich salonów mód, jest conajmniej piętnaście które cieszą się światową sławą, a z pośród tych piętnastu, jest kilka, które tu na miejscu mają markę bardziej paryskich niż inne.

Chwila uwagi! Oto kolekcja Pre-met'a. Ten wielki mistrz jest zwolennikiem zasady, która znajduje wyraz w linii dzisiejszej: prostota, czystość, szyk, kostjumy i robes — tailleur wykonywane są z materiałów mę-



rys. 1.

skich, lub rypsu, alpagi szaro-niebieskiej; wszystko przybrane chemisetkami białymi, kamizelkami, krawatami, żabotami i t. p. Całość skromna w dole głębokie wewnętrzne kontrafałdy, aby nadać swobodę ruchom. Żakiety długie, odpowiednio otwarte aby ukazać białą „chemisette” (rys. 1) W sukienkach lekkie podniesienie w stanie z przodu.

U drugiego metra, pana Paul Poirét'a, kolekcja jest bardzo bogata i bardzo różnorodna. Powstała ona pod działaniem różnych wpływów.

Widzimy naprzykład wyraźnie wpływ stylu z epoki amazońki z czasów rzymskiej dekadencji: niektóre kapy i drapowania mają wygląd przedziwnie wojenny.

Inne modele, posiadające z tyłu zapomniane dawno puffy, przypominają modę z roku 1880. Skądinąd reminiscencje murzyńskie, wschodnie i wreszcie egipskie, które odznaczają się stanem prostym, szerokim; pas wyższy, przody odmienne od tyłu, plisowane, białe koszule z imponującymi, szerokimi rękawami. Jako przybrania Poirét używa „coq razé” do kostjumów i popołudniowych sukien. Kolory oczywiście dobrane z dużym smakiem, kasztanowy i „ficelle claire”, gra-

natowy i „bleu pervenche”, „laque violette”, i różowy, złoty, srebrny.

Jako „cri du jour” lansuje Poirét jadowabne płótno zwane „Toile Demoiselle” w duże, kolorowe kraty, fantazyjną taftę, „Kasha naturel” ryps i t. d. — (rys. 2).

A teraz proszę ze mną do Jeanne Lanvin — krawcowej — bo tak w skromności swojej ta wielka artystka podpisuje swoje kreacje. Wyszukany krój, detale dotąd niewidziane i zupełnie oryginalne przykuwają uwagę. Dużo małych „godets” wyciętych w formie półkola i wszytych trochę wyżej kolan. Wielkie płaszcze bez określonej formy, koloru „ficelle claire” (jasny sznurek). Suknie o stanach niskich, z pasami lakierowanymi, albo ze stalowej łuski pelerynki krótkie, kloszowe (rys. 3). Jako kolory „ficelle, rose faneé, vert poil cassé, abricot” i t. p.

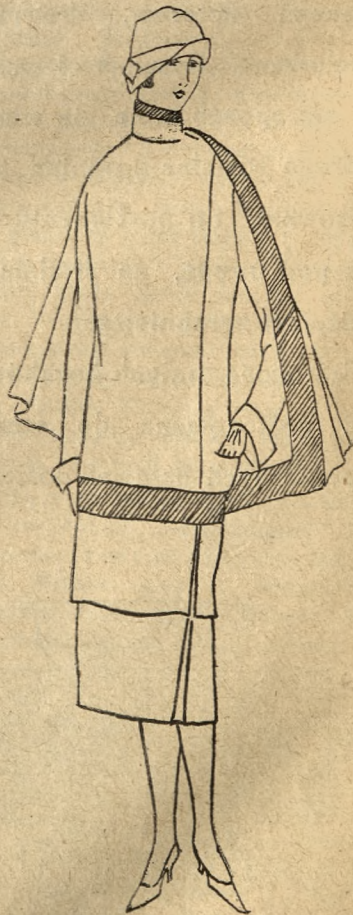
Fulary w czarny groszek na kolorowym lub na białym tle kolorowy groszek, w kraty, pasy i wszelkie inne fantazje.

I tak bez końca przesuwają się nam przed oczami kolekcje, które są podobne do siebie, tylko w ogólnym zarysie.

Abym dać wyraz orientacji w obecnej chwili, należy zaznaczyć, że wogóle modę, zachowując zasadniczą prostotę w linii, ma jednak



rys. 2.



rys. 3.

tendencję do zmian zapowiedzianych już od kilku sezonów. Linja stanu lekko podniesiona, stanik bardziej obcisły, niż dotąd. zarzucenie czarnego koloru na korzyść delikatnych pastel.

Powrót do mody bardziej wyszukanej w przybraniach, krój bardziej skomplikowany: inkrustacje, fałdy, marszczenia, małe klosze, kołnierze, kamizelki, żaboty z koronki, tiulu, gipiury, batystu, *crêpe de chine'u* i t. d.

Ogólnie biorąc, pozostajemy przy wielkich zarysach mody, które po mimo przejściowych zmian i sezonowych fantazji, są wierne już od paru lat tym samym zasadom i koncentrują się w jednym dążeniu: dbałość o komfort wszędzie i zawsze.

Sekwa

PANOWANIE ANTYKU

Krańcowi rewolucjoniści pragnęli zerwać nie tylko z tradycją, ale nawet ze wszelką kulturą, gdyby ta miała być dziedzicznie obciążona jakimiś śladami ustroju monarchicznego. Sięgając myślą w przeszłość, znaleźli pożądany wzór republikańskiej cnoty, w bohaterkiej epoce Rzeczypospolitej rzymskiej. Stąd zrozumiałe upodobanie do starożytności, klasycystyczne tendencje w sztuce, urządzeniu wnętrz, stroju. Pojęcia antyku i demokratyzmu od r. 1789 niemal całkowicie się pokrywały.

„Przysięga Horacjusów” Davida (1784 r.) jest najżywszym może wyrazem w plastyce tej tęsknoty do klasycyzmu formy, do heroizmu treści, tęsknoty, jaka trawiła społeczeństwo jeszcze przed wybuchem rewolucji. Zawiera ona zarazem protest przeciw istnjącemu stanowi rzeczy niemal równie silny jak „Cyrułik sewilski” Beaumarchais’go w literaturze.

Spółeczeństwo „rokoka” było arystokratyczne i w sobie zamknięte. Asymilowało tylko to, co mogło być użyciem dla zmysłów. Celem jego było rafinowanie rozkoszy. Społeczeństwo rewolucyjne dążyło do udostępnienia kultury umysłu i serca najszerszym warstwom. Nie mogło być mowy o wyłączności, skoro chodziło o masy.

Nieobliczalna swawola rokoka doprowadziła do przesytu i zmęczenia. Od czasu, gdy Winkelmann skierował uwagę ogółu na starożytność, zaczęto szukać zadowolenia estetycznego w spokojnych i poważnych liniach antyku. Już za Ludwika XV kapryśne formy poczynają ulegać pewnej regu-

le i mierze; powierzchnie stają się bardziej równe, kontury prostolinijsze. Do ornamentu wkraczają meandry i liście palmowe.

Teraz antyk zapanowuje wszechwładnie. Hasło powrotu do natury bynajmniej nie hamuje rozpędu klasycystycznego; przeciwnie nasila go jeszcze jednym argumentem: co starożytne, to musi być naturalne. Dzisiaj ci doktrynerzy, którzy zmieniali kalendarz w duchu antycznym, a jednodniowym republikom przez się stworzonym, nadawali imiona, zapożyczone z podręcznika historii starożytnej, ci mówcy, perorujący o rzymskiej cnotcie i wolności, ci artyści, organizujący obchody klasyczne, wydają się nam śmiesznymi marzycielami, a jednak, ci zapaleńcy działali w dobrej wierze. Wola i czyn, idea i jej wyraz, treść i forma były dla nich pojęciami nierozłącznymi i dlatego są to ostatni ludzie w Europie, którzy stworzyli styl. Po nich panują już tylko różnorakie, wielotypowe snobizmy.

Starano się wprowadzić styl do najdrobniejszych szczegółów codzienności. Nietylko zjawiają się łóżka „à la grecque”, fotele „à l’etrusque”, uczesania męskie „à la Titus”, ale nawet nocna szafka przestała być szafką, a zmieniła się w ołtarz boga snu, umywalka — w ołtarz bogini czystości, piec — w ofiarnik boga zimy.

Zwykle mieszczańskie pokoje są podniesione do godności świątyni. Najważniejszą jest świątynia „sypialna”, w niej przyjmuje się gości i urządza zebrania. Pośrodku stoi łożo otoczone ołtarzami, na których spoczywają narzędzia ofiarne. Sypialnia malarza Odiot przedstawiała świątynię Djany w gaju, Virant Denon skopjował w tym samym celu świątynię egipską w Tebach. Nie komfort, nie wygodę, ale patos miano na celu. Zarówno przez strój, jak przez urządzenie wnętrza zbyt wiele chciano powiedzieć. Zaczęto się chętnie posługiwać alegorją, wskutek czego sztuka zdobnicza popadła w martwość, a nadużycie motywów mitologicznych sprowadziło szablonowość miast pierwotnej prostoty.

Z drugiej strony ścisła symetryczność, wielkie, niczem nieprzerwane płaszczyzny ścian, prostoliniowość, ubogie profile, ograniczenie barw do bieli i złota, nadawało wnętrzom ówczesnym charakter nieco surowy, poważny i monotony.

Budowa mebli była oparta na zasadach ściśle architektonicznych. Wszędzie stosowana kolumna nadawała szafom, stołom i fotelom fizjognomję monumentalną.

Co się tyczy materiału, to mahoń wyrugował wszystkie inne gatunki drzewa. Kosztowne okucia ze złoczonego brązu podnosiły wspaniałość i przepych sprzętów jednak, wskutek ustawicznego powtarzania tych samych wianuszków, palmetek i lir, nabrały one charakteru konwencjonalnej ozdoby. Właściwego ich źródła szukać należy w epoce cesarów, która nic przecież nie miała wspólnego z tą republikańską prostotą, zrazu tak dogmatycznie propagowaną.

Przypomnijmy sobie jednak, że wkraczamy w granice *empire'u*... Zbytliwość sprzętów staje się obowiązującą regułą. Jeden z najznakomitszych „hebanistów” swego czasu, Jakób Desmalter, który meblował pałace cesarskie w Malmaison, Moguncji, Antwerpii, Rzymie, Florencji, Wenecji, miał komody po 4000 franków, biurka w cenie od 350 do 3000, stoliki od 300 do 2000 fr. On to był twórcą szafy, którą Napoleon obstałował dla Marji Ludwiki za cenę 55.000 franków, jak również łoża dla tejże monarchini, które ozdobiono koronkami za 120.000 franków. Urządzenie pałacu marszałkowej Nev w Paryżu kosztowało z górą milion.

Girodet komponował umeblowanie w Compiègne, Prudhon gotowałnię Marji Ludwiki, dar miasta Paryża z masywnego, grubo złoczonego srebra, który przetopiono później w 1832 r. Największy wpływ na sztukę zdobniczą *empire'u* wywarli nadworni architekci Napoleona Percier i Fontaine, którzy nie tylko rysowali plany pałaców i projekty mebli, ale dawali wzory fabryce porcelany w Sévres.

Jak szybko odwołała się karta historii! Jeszcze wczoraj przy rabunku pałaców królewskich Konwent wydał rozporządzenie, aby oszczędzać tylko tę porcelanę, która pod względem prostoty i surowości linii mogłaby dorównać wazom etruskim, a dziś Mme Jaquetot za ręcznie malowaną filiżankę płaci 500 franków, wazy z malowidłami Swebacha, Bergere’a lub Isabeya osiągają cenę 6.000, 10.000, 15.000, nawet 50.000 franków.

Gust estetyczny epoki, stąpający zawsze na koturnach, znajdował się w kłopotliwym nad wyraz położeniu, napotkawszy na swej drodze jakiś przedmiot codziennego użytku, którego niepodobna było ominąć, ani przeskoczyć. Czyż można się obejść w średnim europejskim klimacie bez pieca, ale jak będzie wyglądał ten intruz nowoczesny w starorzymskim otoczeniu?

Znów ołtarz antyczny przychodzi z niezawodną pomocą; czasem

przybiera formy pomnika lub grobowca. W muzeum sztuki stosowanej we Wrocławiu przechowywane jest żelazny piec w postaci starożytnej egipcjanki, która pod zapaską na biodrach ukrywa palenisko. W domu malarza Isabey'a w Paryżu piec był schowany w statui Minerwy. Karol Juliusz Weber trafił w Górnej Austrii na piec, wykonany w formie biblioteki, zawierającej prace Lutra, Cwilingiusza i Kalwina. Dowcip polegał na tem, że dzieła kacarskie przy każdorazowym napaleniu w piecu, płonęły „in effigie”.

Konflikt między estetyką, a wymaganiem życia codziennego najczęściej rozwiązała Anglia. Wbrew panującemu na lądzie prądowi bezwzględnej podporządkowania się klasycyzmowi, majster angielski poszedł drogą, wskazaną przez praktyczność i wygodę. Meble angielskie odznaczały się celowością, solidnym wykonaniem i wstrzemięźliwością w zdobieniu. Właściwe im, swoiste zespolenie elementów rokoka, gotyku i form pseudoklasycznych, złożyło się na specjalny smak angielski, którego bardzo wyraźne ślady narówni z wpływami właściwego empire'u łatwo odnaleźć w późniejszym stylu Biedermaierowskich mebli.

Skromne umeblowanie mieszczańskiego domu wzbogaca się o parę inowacyj. Z tych czasów pochodzą swobodnie umieszczone na postumencie, ruchome lustra „Psyche”, wprowadzone w użycie z chwilą, gdy udoskonalona technika umożliwiła rznięcie zwierciadeł w dowolnych rozmiarach. *Spero*

O LISTACH

Pokaż mi swój list, a powiem, ci kim jesteś, mawiano dawniej. Prawdą jest, że list jest świadectwem kultury osoby, — która go pisała, dlatego uważną trzeba być bardzo, nie tylko co do formy, stylu i ortografii listu, ale i co do wyboru papieru, atramentu, a nawet i pióra, którem go piszemy. Są dwa rodzaje korespondencji — handlowa i prywatna. Handlowa, jako poważna i bardzo odpowiedzialna, potrzebuje specjalnego przygotowania i nauki; o niej dzisiaj mówić nie będziemy, pomówimy natomiast, o różnych odmianach korespondencji prywatnej, mającej wspólne zasady. Pisać trzeba przede wszystkim zawsze czysto, jasno, zwięźle i wyraźnie, starając się w najmniejszej ilości słów umieścić jak najwięcej treści, unikać trzeba powtarzania myśli i używania zbyt często tych samych wyrazów. Zależnie do osób

do których się pisze, dobiera się rodzaj papieru. Listy ceremonialne, do osób starszych lub wyżej postawionych w hierarchii społecznej, pisze się zawsze na białym, gładkim, papierze w dobrym gatunku. Format powinien być duży, koperty ściśle dobrane wielkością. Do listów bezceremonjalnych, przyjacielskich i rodzinnych, można używać papieru fantazyjnego, nawet kolorowego, o lekkim delikatnym zabarwieniu; wtedy koperty winny być w tym samym tonie. Złego smaku dowodzą zbyt jaskrawe kolory papieru, lub pospolite, wytłaczane i malowane ozdoby; uchodzą jedynie ciemniej odbite pierwsze litery imienia i nazwiska. Atramentu, powinno używać się czarnego, lub fiołkowego (tego ostatniego tylko w bliskiej korespondencji) wszelkie fantazyjne kolory są niedopuszczalne. Papier listowy eleganckiej kobiety, może być lekko perfumowany za pomocą sanzetek, lub listków bibuły, skropionych używanym przez daną osobę zapachem, którymi przekłada się arkusiki.

Zapach powinien być subtelny zawsze ten sam, jednym bowiem z najważniejszych tajników elegancji, jest używanie do wszystkiego tych samych perfum.

Zależy od tego, do kogo piszemy, jaką nadamy formę naszemu listowi.

Ceremonjalne tytuły i frazesy, śmieszne będą w zastosowaniu do osób znajomych i serdecznych, tak samo jak niewłaściwą będzie zbyt duża poufałość do ludzi obcych. Pewne jednak zasady dadzą się zawsze zastosować: datę to jest dzień, miesiąc i rok cyframi, umieszcza się zawsze u góry listu. O dacie nie wolno zapominać, zwłaszcza w listach pisanych w interesie.

Na początku listu, do osób mało znajomych, w dużym odstępnie od daty umieszczamy tytuł: „Szanowny” lub „Wielmożny Panie”, zależnie od stosunków, jakie nas łączą i interesów, w jakich piszemy; do bliskich i serdecznych używamy słów, podyktowanych nam sercem. W listach etykietałnych zostawiamy odstęp czyli margines, dwa lub trzy centymetry szeroki. Jeżeli list jest krótki, skończony na jed-

nej stronie, trzeba uważać, aby podpis nie był umieszczony zbyt nisko, lepiej przenieść pismo na następną stronę, uważając tylko, aby zacząć u góry, na tej samej co poprzednio wysokości i tej samej szerokości zostawić margines. W listach poufalszych odstępy i marginesy mogą być mniejsze, ale powinny być zawsze. Nie można pisać do nikogo na pół arkusikach lub karteczkach papieru, uważać trzeba, aby na papierze nie pozostały tłuste ślady palców, lub kleksy z atramentu, co dowodziłoby małego liczenia się z osobą, do której się pisze. Nie każdemu dany jest ładny charakter pisma, każdy jednak powinien pisać starannie, a przede wszystkim wyraźnie, aby odbierający list nie potrzebował męczyć się odcyfrowywaniem hieroglifów, które choć modne obecnie, zastosowane w listach, uważane być mogą za lekceważenie co najmniej czasu i cierpliwości adresata. Zdarza się często, że ktoś dla oszczędności papieru, pisze w kratkę. Nie robi się tego pod żadnym pozorem, ten rodzaj pisania bowiem niemożliwie utrudnia odczytanie listu.

Po rozpoczęciu naszej epistoły, tytułem należnym, przystępujemy do wyłuszczenia kwestji lub interesu, w którym piszemy, starając się tłumaczyć jasno i dokładnie nasze sprawy. W listach naszych do przyjaciół i rodziny, piszemy wszystko, co nam serce dyktuje, a pamięć na myśl przywodzi. Dobrze jest jednak, nie zapominać, że „verba volant, scripta manent” wskutek czego często żałuje się, pod wrażeniem chwili lub w uniesieniu napisanych wyrazów. Po wyczerpaniu tematu, kończymy list, odpowiednio zastosowaniem zdaniem i podpisem. Zapewnienie głębokiego szacunku umieszczamy w liście ceremonialnym, ukłony lub pozdrowienia w obojętnym do osób równych, z życzliwością podpisujemy się do osób, niższej od nas sfery. Kochanym i bliskim przesyłamy to, co dla nich czujemy. Następnie kładziemy podpis. Do obcych pierwsza litera imienia i całe nazwisko, do bliższych imię i nazwisko, a do najbliższych podpisać można samem imieniem. Dobrym jest zwyczaj zamieszczania zawsze u dołu listu swojego adresu, którego nawet dobrzy znajomi często zapominają. Odpisuje się na odebrane listy najpóźniej w ciągu dni ośmiu. Zresztą im prędzej, tem grzeczniej. Po odczytaniu napisanego listu, co zawsze z uwagą należy uczynić, dla poprawienia mimowolnych niedokładności — tu nadmienić muszę, że w razie dużych omyłek, list trzeba przepisać,



a nie wyskrobywać i przekreślać — składa go się odpowiednio do wielkości koperty, adresuje i przylepia na wierzchu koperty po prawej stronie, znaczek pocztowy, uważając na wagę listu, aby nie narazić odbierającego na dopłacanie. Adresuje się stosownie do stanowiska i godności. Jeżeli pisze się do mało znajomej osoby, bardzo uważać trzeba, aby nie przekreślić nazwiska. Przy przesyłaniu listu przez kogoś znajomego, grzeczność z naszej strony wymaga dać go otwartym, z jego zaś strony w naszych oczach, natychmiast zakleić. Można dla wzmocnienia źle zaklejonego listu, przyłożyć pieczętkę z laku, czerwonym pieczętuje się urzędową korespondencję lub przesyłki pocztowe, do prywatnej użyć można laku tego koloru co papier.

Na papierze z obwódką żalobną, pisze się czarnym atramentem i pieczętuje czarnym lakiem. Oprócz zamkniętych listów wysyłamy często odkrytki obrazkowe, lub kartki pocztowe. Na tych ostatnich, nie pisze się nigdy o ważnych interesach lub wydarzeniach, pamiętając, że wszyscy czytać je będą. Służą jedynie do załatwiania spraw mniejszej wagi, przesyłania bagatelnych wiadomości, życzeń, i pozdrowień z podróży.

J. S.

Parę gier w piłkę, odpowiednich dla starszych dzieci

Gry, których zasady chcę podać naszym Czytelnikom, są już dziś bardzo rozpowszechnione w szkołach, przypuszczam jednak, że opisanie ich nie będzie bezcelowe, gdyż znajdzie się sporo pań, które byłyby w kłopotcie, gdyby im ktoś polecił zorganizowanie samodzielnie gry łatwej i równocześnie zajmującej dzieci i rozwijającej. Co do dzieci to miesiącami mogą one grywać w jakąś grę, a gdy wytłumaczyć jej zasady, okazuje się częstokroć, że zupełnie zapomniały, na czym gra miała polegać.

Piszę o grach w piłkę, gdyż uważam je za najkorzystniejsze dla zdrowia. Rzucanie piłki zmusza do prostowania się, wyciągania rąk, rozwija mięśnie ramion i klatki piersiowej, wyrabia przytem zręczność i szybkość orjentowania się.

Wiele gier rzutowych jest połączonych z bieganiem, dzieci i tak zresztą dosyć biegają.

Zaczynam od gier najłatwiejszych.

1. Piłka więzienna (gra dużą piłką, footballową. Rysuje się 2 linje równoległe, odległe na długość rzutu dziecka (zależnie od siły 10 — 20 kroków).

Dzieci podzielone na równe grupy stoją za linią gromadką. Jedna partja zaczyna, rzuca wywołując imię tego, kto ma złapać piłkę. Gdy piłka nie doleci do linii, rzut się nie liczy, gdyż linii przekraczać nie wolno.

Jeśli wywołane dziecko piłki nie złapie, odchodzi na bok, jest więźniem. Gdy złapie, z kolei rzuca do drugiej partji, wywołując za każdym razem, kto ma łapać. Wygrywa partja, w której w oznaczonym czasie została większa ilość dzieci.

Można grać aż do zupełnego „wybicia“ wszystkich dzieci, czyli zamienienia wszystkich na więźniów. To jednak trwa zwykle za długo.

Lepsza jest ta sama gra, lecz „na punkty“. Niema wtedy więźniów, którzy muszą długo nudzić się i przeszkadzać. Rzuca się do wszystkich bez wywoływania. Jeśli nikt nie złapie i piłka upadnie na ziemię, liczy się jeden punkt. Podnosi piłkę i rzuca partji przeciwnej którekolwiek dziecko. Przegrywa strona, która szybciej ma np. 10 punktów, czyli 10 razy nie złapała piłki.

2. Wyścig piłek. (Grać można piłkami wszelkich wielkości). Wyścigi piłek można urozmaicać w wiele sposobów, podane tutaj będą najprostsze.

Ustawia się dzieci również podzielone na 2 równe części w dwa rzędy (rząd jedno za drugim, szereg jedno obok drugiego, ramie przy ramieniu). Pierwsze dzieci dostają po piłce i na dany znak podają ją nad głową następnemu dziecku. Który szereg pierwszy poda i odniesie piłkę prowadzącemu grę, ten zwyciężył.

To samo w szeregu. Dzieci stawia się w 2 szeregi twarzami do siebie zwrócone, odległe o jakie 6 kroków. Między jednym, a drugim dzieckiem oznacza się równe odstępy np. 3 — 4 kroki, tak że dzieci w obu szeregach stają naprzeciwko siebie. Najlepiej żeby nie zmieniały miejsca i nie psuły porządku gry, jeśli każde narysuje sobie kółko i w niem stoi.

Piłki mogą dzieci podawać sobie, biegnąc do następnego dziecka i wracając potem na miejsca, lub rzucając je. Jeśli się chce grę urozmaicić i przeciągnąć dłużej, to gdy piłka dojdzie do ostatniego

dziecka, musi ono przebiec wzdłuż szeregu i stanawszy na miejscu pierwszego podać ją dalej. To samo robi dziecko następne i t. d. aż cały szereg zmieni miejsca i pierwsze znajdzie się znów z piłką na przedzie. Z którego szeregu dziecko z pierwszej pary wróci pierwsze i poda piłkę sędziemu, ten szereg wygrywa.

Wyścig piłek robić można też w kole. Dzieci odliczają wtedy do 2 i rzucają, względnie podają piłkę co drugiemu.

Wybijanie.

Bardzo odpowiednią grą gdy jest zbyt gorąco, lub gdy dzieci są zmęczone jest wybijanie.

Dowolna ilość dzieci siedzi na ziemi gromadką. Jedno, stojąc oddalone rzuca piłką (małą). Dziecko siedzące, do którego się rzuca ma złapać i piłkę odrzucić z powrotem. Jeśli nie złapie, odchodzi od gry.

Całym zadaniem rzucającego jest rzucić tak silnie, by trafić ale nie dać złapać lub rzucić temu, kto nie uważa. Dziecko, które zostało najdłużej na ziemi „nie wybite“ wygrywa i zaczyna z kolei wybijać. Można mierzyć czas i wtedy wygrywa ten, kto najszybciej wybił całą partję.

(c. d. n.)

I. Fabrycowa

PIELĘGNOWANIE WŁOSÓW

Jednym z najważniejszych czynników, wpływających na porost włosów, jest masaż skóry na głowie. Masaż należy stosować przy zdrowych włosach co najmniej raz na 10 dni.

Nauczenie się tego masażu nie jest rzeczą trudną, po jednej lekcji u specjalisty, można sobie samej doskonale taki masaż uskutecznić. Poza tem należy jak najczęściej trzymać włosy rozpuszczone, w lecie chodzić najczęściej z odkrytą głową, ewentualnie nosić bardzo lekkie kapelusze.

Obcinanie nie wpływa na porost włosów. Wyjątkowo, gdy włosy są b. tłuste, wpływa dodatnio obcięcie, gdyż w tym wypadku jest wskazane częstsze mycie, dopływ lepszy słońca i powietrza, a krótkie włosy wszystko to ułatwiają i następuje rzeczywiście lepszy wzrost włosów — ale obcięcie wpłynęło tylko pośrednio.

Obcinać włosy, czy nie — jest to problem zaprzatający ogólnie teraz główki kobiet, z powodu chwilowej mody.

Wahaniom niema końca! Bo i jakże.. ta i owa przyjaciółka obciąła włosy, jest jej tak ładnie, odmłodziła... a wieści z Paryża głoszą, że krótkie włosy już przestały być modne, że jest już szoki podobne uczesanie! Cóż ma robić biedna, wahająca się istota?! Na razie decyduje się nie obcinać aż do czasu... gdy znowu jedna ze znajomych to zrobi i czynem tym pogrąży w wiry wahań nieśczęśliwą!

Jakże ja mam wam poradzić, biedne moje, wahające się Czytelniczki, bo czuję, sądząc z licznych zapytań, że chcecie, żebym tę kwestję rozwiązała...

A więc wbrew mej woli, muszę ten problem rozstrzygnąć kompromisem.

Jeżeli która z was ma ładne, prawdziwie ładne włosy, to bezwarunkowo szkoda obcinać — jeżeli zaś włosy marne lub rzadkie — obcinajcie, jak najprędzej, póki się moda nie zmieni.

Każda moda ma w sobie coś ciekawego, jakąś odmianę, coś nowego, coś ratuje lub maskuje — ród ludzki nie jest doskonały — przeto trzeba wykorzystać te właściwości mody i możebności jakie nam daje.

Rozumiem doskonale jeden ze skrupułów niektórych pań, by przez krótkie włosy nie stać się podobną do dawnych emancypantek, których piękne dusze, musiały być manifestowane na zewnątrz krótką, męską czupryną, przy koniecznych okularach. Ale wtedy było to zupełnie co innego.

Dziś z owoców emancypacji kobiet korzystamy wszystkie, co zmienia sytuację — i nie bójcie się dzisiejsza kobieta nie straci swej kobiecości, jeżeli ją prawdziwie ma, przez obcięcie włosów lub zachowując długie, zależy to całkiem od innych czynników.

Nadmienić tylko muszę jeszcze, że jednak długie włosy, niezaprzeczenie uznana nasza największa ozdoba, przyczyniają nam tem nie mniej wiele trudu przy myciu, czesaniu i przy wyborze kapełusza dzisiejszego stają się powodem tragicznej sytuacji nieraz, gdy w całym magazynie nie ma kapełusza, któryby nie był za ciasny.

W jaki sposób — przekonać się, czy w krótkiej fryzurze jest do twarzy? Rozstrzygnąć ten najważniejszy problem można jedynie wypożyczając u fryzjera peruczkę tego samego koloru co włosy i dopasować. Uważne przejrzenie się w lustrze przekona nas, czy warto ucinąć włosy czy nie.

Zatem, kto się waha, niech się decyduje bo moda to kapryśna

pani i jutro może coś nowego obmyśli. A co wtedy, zapytacie? Ale cóż znowu! a od czegoż fantazja i przysłowiowa pomysłowość kobiet. Trochę się włosy zwiąże z tyłu, coś się przypnie, resztę włosów zaonduluje i fryzura gotowa.

Co się tyczy farbowania włosów — o, to bardzo ważna kwestja, ze zrozumiałych powodów. Osoby starsze — jakże trudno jest obecnie przeprowadzić granicę wieku — nie chcą się zgodzić na siwiznę włosów. I mają rację, gdyż mało jest włosów, które siwieją równomiernie i tworzą piękną białą głowę — przeważnie głowy są szpakowate, co nie jest wcale ładne i estetyczne.

Jest to bardzo przykry okres w życiu kobiety to ciągle przypomnienie schyłku życia.

Poza tem zmuszają nas też często i względy ekonomiczne — wiadomym bowiem jest fakt, jak trudno jest kobietom starym znaleźć i utrzymać się przy posadzie.

Kobieta więc musi i powinna farbować włosy ze względów natury ekonomicznej i estetycznej. Dlaczego nie mamy sobie umilać życia dopóki można i da się. Precz z przestarzałymi pojęciami!

Chodzi tylko o to jak i gdzie farbować! To jest najważniejsze. Odpowiedź: jedynie przez lekarza specjalistę, farba musi być dobrze dobrana, tylko roślinna, a nie mineralna.

Nie należy nigdy przez oszczędność samej farbować taniemi, a tak, zachwalanemi reklamą, gdyż można ciężko się rozchorować, włosy stracić, a nawet oślepnąć.

Włosy nieodpowiednio rozmieszczone po ciele, są też objawem przyczyniającym nam dużo przykrości z powodów natury estetycznej. Wszelkie wyrwania są szkodliwe, reklamowane środki tylko czasem i to chwilowo pomagają, Röntgen też czasowo usuwa.

Jedynie natomiast i radykalnie usuwa elektroliza. Jest to bardzo żmudny i kosztowny środek. Na jednym posiedzeniu da się zaledwie kilka, lub kilkanaście włosków usunąć. Należy więc elektrolizę stosować nie na dużych przestrzeniach, a tylko w miejscach najwidoczniejszych jak twarz i nogi,

Czy jest środek na porost włosów radykalny — to jest pytanie, które się najczęściej słyszy.

Stanowczą odpowiedzią będzie: niema środka cudownego w postaci kremu lub płynu. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że środków cudownych patentowanych mamy tak dużo. Żaden nie jest idealny, bo gdyby był dobry,

byłby jedyny jak np. surowica przy dyfterji.

Bywają środki cudowne na porost włosów, które są jedynie nieszkodliwe. Znana jest powszechnie anegdota o kremie, który się dostał przez omyłkę na powiększenie biustu mężczyźnie a na porost włosów kobiecie. Na szczęście obie strony nie zostały pokrzywdzone, gdyż oba kremy były nieszkodliwe.

Nie polecam żadnego środka cudownego, patentowanego, primo nie znam składników — secundo każdy środek, nawet najlepszy, musi być stosowany indywidualnie. Nie widząc pacjenta, nie znając przyczyn wypadania włosów, nie można aplikować skutecznie żadnego środka, albowiem ten sam środek jednemu może pomóc, a drugiemu zaszkodzić.

Dlatego też, gdy się spostrzeża, że włosy zaczynają wypadać, należy jaknajszybciej udać się do lekarza specjalisty, ten zaś po zbadańiu oceni, jaki środek ma zastosować: farmaceutyczny, czy też masaż, Röntgen lub elektryczność, a wtedy dopiero można oczekiwać skutku leczenia.

Dr. med. J. Świtalska

CZERWIEC w OGRODZIE

Dwa są najważniejsze zajęcia w ogrodzie w czerwcu — to podlewanie i pielienie.

Niema prawie dnia, w którym nie byłoby co podlać, a jeśli się raz jakąś roślinę zacznie podlewać, trzeba czynić to systematycznie, dopóki nie przyjdzie deszcz, inaczej tylko się zaszkodzi roślinie, ziemia bowiem zaskorupieje i nie dopuści żadnej wilgoci.

Podlewać się powinno wodą deszczową lub rzeczną. Jeżeli wodę bierzemy ze źródła, lub studni powinna stać 24 godziny na słońcu dlatego w każdym ogrodzie potrzebne są beczki do zlewania wody. Woda bardzo zimna bezwarunkowo szkodzi roślinom.

Woda ze stawów i rowów mieści w sobie często dużo szkodliwego roślinom robactwa i dlatego niezawsze jest bezpieczna. Podlewać roślin nie trzeba nigdy w czasie operacji słonecznej.

Pielienie, zwłaszcza w ogrodzie jarzynowym powinno być bardzo staranne, gdyż nie tylko uwalnia roślinę od wyniszczających je zaroi, ale przez umiejętne poruszenie ziemi stanowi zarazem ich uprawę.

Przy pieleniu należy bardzo uważać, żeby ziemia, z której się wyrwa chwasty, była wilgotna, dlatego najlepiej jest pleć po deszczu i chwastów nie urywać, ale wyrывая z korzeniem, nie naruszać korzeni rośliny. Marchew. zbyt gęsta, można przy pieleniu przerwać.

Pomidory należy poprzywiązywać do palików, jeśli są bardzo gęste można wyciąć te gałęzie, które mają najmniej zawiązków na kwiat. Na ogórkach inspektowych zostawić parę sztuk pięknych na nasienie. Zasadzić groch karlik z najwcześniejszego gatunku — gdy pierwszy przeminie, ten będzie nowalją.

Pod koniec czerwca trzeba zasadzić jarmuż zimowy, który lubi cień i wilgotne miejsce. Grochom i fasolom, jak tylko zaczną puszczać wąsy, trzeba dać tyczki, a karalepę i kalafiora należy okopać.

Zróż trzeba skrzętnie zbierać zawiązki gąsienic. Łatwo je dostrzec gdyż gnieźdzą się w najbujniejszych liściach, które są zwinięte, i oplątane pajęczyną. Liście takie należy uciąć i spalić.

Jeżeli się ma małą chociażby cieplarnię, trzeba ją oczyścić i zrobić poprawki w oknach i kanale. Czerwiec jest po temu najodpowiedniejszą porą, gdyż najmniej kwiatów w oranżerii się znajduje.

R-ska.

OBIADY NA MASZYNCIE

DWA OBIADY WIOSENNE (NA TRZY OSOBY).

I.

Zupa szczawiowa z jajami na twardo. Szynclę ze szparagami.

Ryż na gęsto z cukrem i cynamonem.

Pół kilo szparagów oczyścić z twardych skórek, związać w dwa lub trzy równe pęczki, namoczyć w zimnej wodzie, wziąć kilo cielęciny szynclowej, kości i żyłki nastawić z półtora litrem wody, oczyszczoną marchewką i kawałkiem pietruszki, osolić, rzucić parę ziarn pieprzu i pół listka, zagotować, zszumować, ogień zmniejszyć i gotować tak około pół godziny. Jednocześnie z kostkami i włoszczyzną włożyć w rondel trzy czysto umyte, świeże jaja, w kwadrans po zagotowaniu wyjąć je i przełożyć do zimnej wody.

Dziesięć deka liści szczawiowych posiekać drobno nożem, wrzucić je na gotujący rosół, kości i włoszczyznę usunąć.

O ile przy kościach pozostało mięso, można je pokrajać w grubą kostkę i włożyć napowrót w zupę.

Łyżkę mąki pszennej rozbić w szklance zimnej wody, wlać w zupę, zagotować, wlać półkwaterek kwaśnej śmietany, nie gotując dalej wstawić rondel z zupą w papierowe gniazdo. Szklankę niepełną szlifowanego ryżu, wstawić z trzema szklankami wody, gdy się zagotuje zmniejszyć ogień, włożyć łyżeczkę masła i dusić często mieszając od dna, po dwudziestu minutach zwykle ma dosyć.

Gdy miękki, wstawić go w drugie gniazdo. Zagotować litr wody, mocno osolić i włożyć w to szparagi. Gotować na silnym ogniu, gdy zaczną mięknąć, odstawić, nie wyjmując z wody.

Przez ten czas należy wybić i uformować trzy ładne, cienkie szynclę, — utarzać je w mące i lekko osolić.

Na patelni rozpuścić dużą łyżkę masła lub szmalcu, położyć na to szynclę i smażyć je na niezbyt dużym płomieniu, aż się z obu stron ładnie zrumieni. Przykryć talerzem patelnię i ogień tak przykręcić, aby tylko nieco grzał.

Jaja oczyścić z łupinek, poprzekrawać na połówki, włożyć na talerz i podawać zupę.

Po zjedzeniu zupy dopiero włożyć na półmisek szynclę, obok szparagi, ogień nieco zwiększyć, do masła na patelni dolać łyżkę wody, zagotować raz i połać tym sosikiem szparagi.

Ryż wyłożyć na talerz i obficie osypać cukrem stłuszczonym z cynamonem.

II.

Rosół z jajami w koszulkach.

Mostek smażony ze szpinakiem.

Kompot z rumbarbarum.

Ćwierć kilo najgrubszych łodyg rumbarbarum oczyścić starannie z włókien, pokrajać w dwucalowe

kawałki. Trzy ćwierci szklanki cukru nastawić z dwoma szklankami wody na ulep, rzucić na to dwa goździki lub kawałtka cynamonu. Do wrzącego ulepu włożyć rumbarbarum, zagotować, dać kipieć zwolna pięć minut, poczem wylać na salaterkę i dać zastygnać.

Kto lubi sos zawieszisty, może rozbić herbatnią łyżeczkę mąki kartoflanej w łyżce zimnej wody i wlać to w gotujący kompot.

Trzy ćwierci kilo mostka cielęcego nastawić na rosół z dwoma litrami wody, niedużą marchewką i kawałkiem pietruszki. Można dodać pół oczyszczonej cebuli i gałązkę koperku. Zagotować na silnym ogniu, zszumować, ogień zmniejszyć i gotować na wolnym ogniu aż cielęcina zmieni, a rosół się wygotuje do ilości trzech talerzy, (mniej więcej litr i ćwierć płynu).

Do wrzącego rosółu włożyć trzy umyte, świeże jaja, gotować trzy minuty, poczem przełożyć je do zimnej wody. Przed podaniem obrać je z łupinek, (białka powinny być zupełnie ścięte a żółtka miękkie) i położyć każde na talerzu. Mięso wyjąć, położyć dla zastudzenia na deseczce, kości większe usunąć, przycisnąć, aby można je było po zastęgnięciu pokrajać w grubsze kawałki. Rosół wstawić w gniazdo: pół kilo szpinaku wymyć starannie, odrzucić nadpsute liście, pokrajać w drobną kostkę.

W rądelku rozpuścić dobrą łyżkę masła, położyć na to szpinak, osolić, przykryć pokrywką i dusić, często mieszając łyżką.

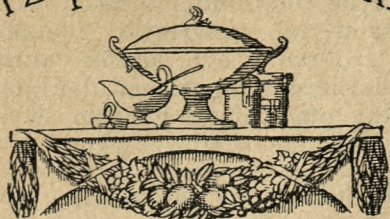
Gdy szpinak straci surowiznę, (jakieś pięć minut od chwili zagotowania), zaprawić go łyżką mąki pszennej, rozbitej w szklance mleka i łyżką cukru. (Ilość cukru jest zależna od tego, czy kto lubi szpinak bardziej lub mniej słodki). Szpinak zagotować z zaprawą, aby nieco zgęstniał, włożyć weń jeszcze herbatnią łyżeczkę masła i, nie gotując już z niem, wstawić w drugie gniazdo.

Mostek pokrajać na sześć drobnych kawałków, rozbić nieduże jajko, umazać w niem mostek, utarzać w tartej bułeczce po połowie z mąką. Na patelni rozpuścić dużą łyżkę szmalcu, na wrzący kłęść kawałki mostku, zrumienić mocno ze wszystkich stron, ogień zgasić, patelnię przykryć talerzem, aby mięso nie wystygło i podawać rosół. Do talerza oprócz jajka należy wsypać nieco siekanego koperku lub zielonej pietruszeczki.

Pauli Elzbieta



Przepisy gospodarskie



KONFITURY Z CZEREŚNI

Czereśnie białe. Czereśnie białe dają nie tyle smaczną, — gdyż są nieco mdłe w smaku, — ile ładną konfiturę, wymagają jednak dużej staranności przy smażeniu, bo każde zgniecenie lub pobicie pozostawia ślad w postaci brzydkich, czarnych plam. Czereśnie, natychmiast po wydreLOWaniu skropić obficie sokiem cytrynowym. Na wsi, gdzie o cytryny trudno, można w tym celu użyć soli cytrynowej (kwasku) rozpuszczając łyżkę stołową w filiżance wody. Cytrynę używa się jednej na funt drelowanych owoców, roztworu kwasku starczy dwie łyżki stołowe. Na kilo owocu starczy kilo cukru, chcąc jednak mieć ładne konfitury, t. j. takie, aby każda jagódka oddzielnie w syropie pływała, należy brać półtora kilo cukru na kilo owocu. Gdzie można dostać syrop kartoflany, można go brać po połowie z cukrem, gdyż czereśnie same przez się mają dużo słodyczy. Na kilo cukru wziąć półtorej szklanki wody, ugotować syrop, zszumować go starannie, wsypać nań czereśnie, raz mocno zagotować, zszumować, poczem dalej smażyć na bardzo wolnym ogniu, potrząsając miedniczką, — gdy ulep zgęstnie, a owoce się staną przezroczyste, odstawić. Na każde kilo konfitur dodać jedną pastylkę benzoesu, rozpuszczonego w łyżce gotowanej wody. Kto lubi zapach pestek, niech kilka ich roztlucze i ziarenka oczyszczone smaży razem z czereśniami. Czereśnie po usmażeniu zaraz zastudzić w miedniczce, lepiej jednak, ze względu na kwas cytrynowy, przelać je dla zastudzenia w porcelanowe naczynia. Dopiero zupełnie wystygnięte konfitury składać do słoików i zawiązywać pergaminowym papierem.

Czereśnie czarne. Oprócz białych, tylko czarne czereśnie służą na smażenie. czerwone, wczesne są bez smaku i barwy, a wszelkie różowe, sercowe, i inne jasne po usmażeniu wyglądają jak białe, smaży się je więc tak samo jak białe i zupełnie je zastępują.

Czarne, bujne czereśnie wydreLOWać, utłuc kilkanaście pestek

ziarenka z nich dodać do czereśni zaciśnięć je sokiem cytrynowym, biorąc jedną cytrynę na kilo czereśni, lub łyżeczkę herbatnią kwasu cytrynowego, rozpuszczonego w dwóch łyżeczkach wody. Niech tak postoją godzin parę. Na kilo czereśni bierze się jeden do półtora kilo cukru, w zależności od tego, czy chcemy mniej lub więcej mieć syropu. Na kilo cukru bierze się półtorej szklanki wody, syrop po ugotowaniu szumuje, wrzuca czereśnie, zagotowuje na silnym ogniu, szumuje, poczem smaży dalej na zupełnie wolnym ogniu. Gdy ulep gęstnieć zacznie a owoce się wypełnią i staną przezroczyste, miedniczkę odstawić, na każde kilo konfitur dodać jedną pastylkę „benzoesu” rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Czereśnie przelać w porcelanową wazę, zastudzić dobrze, poczem składać w słoiki i zawiązać pergaminem.

Konfitury należy przechowywać w suchym miejscu, spiżarnia lub suchy spichlerz są więc dla nich lepsze od, zwykle nieco wilgotnej, piwnicy.

Szklanki. Szklanki najlepiej jest smażyć z pestkami, gdyż konfitura z nich, dla braku koloru, jest dosyć niepozorna, natomiast smak i aromat ma wyborny i dużą część tego aromatu udzielają właśnie smażone razem, pestki.

Na kilo szklanek bierze się kilo cukru. Na kilo cukru półtorej szklanki wody. Ugotować syrop, zszumować, wsypać doń szklanki, zagotować raz na gwałtownym ogniu, zszumować powtórnie, poczem smażyć na bardzo wolnym ogniu, — co dziesięć minut, odstawić miedniczkę na dziesięć drugich minut, aby owoce mogły się dobrze napić syropu, poczem ponownie stawiać na ogień i smażyć znowu dziesięć minut. Powtarzać to, aż staną się zupełnie przezroczyste. Na każde kilo szklanek dodać jedną pastylkę „benzoesu”, rozpuszczoną w

łyżce gotowanej wody, konfitury tę można studzić w miedniczce, w której się smażyły, gdyż żadnego kwasu się do nich nie dodaje. Po wystudzeniu złożyć, jak zwykle, do słoików i zawiązać pergaminem.

PASZTET Z WĄTRÓBKAMI W GALARECIE

(przepis włoski)

Pół kilo wątróbki cielęcej oczyszczonej z błon i skórek, cztery duże wątróbki kurze pokrajać na kawałki i udusić z 7 deka dobrego masła, gdy wątróbki się zrumienią osolić, opieprzyć, włożyć listek, wlać pół szklanki marsali, — (ponieważ tego wina u nas trudno dostać, ja używałam łagodnego węgierskiego) — dusić jeszcze minut pięć najwyżej. Wątróbki wyjąć, ostudzić i utłuc w moździerzu na gładką masę, do pozostałego sosu włożyć dziesięć deka czerstwej bułki utartej, wlać trzy ćwierci szklanki dobrego mięsnego rosółu, zagotować, utłuc tę papkę wraz z wątróbkami i zmieszać starannie, dodać dwa jaja całe i dwadzieścia gramów (2 deka) parmezanu. Formę budyniową wysmarować masłem wysypać bułeczką włożyć pasztetową masę, zakryć szczelnie pokrywę, wstawić w rondel z wrzącą wodą.

Woda powinna dochodzić o palec niżej od pokrywy, aby przy gotowaniu nie trafiła do formy. Gotować godzinę, wyrzucić pasztet na półmisek, dać dobrze ostygnąć. W czterech szklankach dobrego, mięsnego rosółu rozpuścić osiem listków białej żelatyny, wlać kilka kropel karmelu dla nadania ładnego złocistego koloru. Wziąć rądel takiego rozmiaru, aby pasztet włożony na palec przynajmniej nie dochodził ścianek rądla i na dwa palce wierzchu. Na dno rądla nałożyć na palec galarety, zastudzić ją zupełnie, na to postawić doskonale zastudzony pasztet zalać galaretą równo z nim, zastudzić powtórnie, pokryć resztą galarety, trzymać przynajmniej sześć godzin na lodzie lub w zimnej piwnicy, przed podaniem rądel obłożyć umaczną w gorącej wodzie serwetą, przykryć półmiskiem, odwrócić formę a pasztet powinien wypaść cały. Do niego podaje się sos prozenc al lub tylko ocet i oliwę. Chcąc go podać bardziej wykwintnie należy foremkę, w której się gotuje wysypać truflami pokrajanymi w plasterki lub paski. Pasztet ten łatwy do zrobienia, jest bardzo smaczny i wygląda elegancko.

Pani Elżbieta



DOBRE RADY

Chcąc zabezpieczyć się od kąsania przez komary, należy całe ciało obmyć octem, a koło łóżka zawiesić gąbkę, umoczoną w occie. Komary nie znoszą także świeżych konopi. Dobrze jest zatem, skoro są już zielone, porozwieszać w oknach.

* * *

Drugi sposób również dobry: wziąć 1 deka olejku gwoździkowego — 8 deka wody kolońskiej i 32 deka czystego spirytusu, miesza się wszystko razem filtruje przez bibułę i dolewa po kilkanaście kropel tego płynu do mycia. Pozostały na ciebie zapach chroni od ukąszeń.

Korespondencje działu praktycznego

P. W. O. z Nieświeża.

Haft Richelieu zupełnie nie jest używany do bielizny osobistej i jest w niej bardzo niepraktyczny. Ozdabia się bieliznę mereżkami i haftem angielskim i takie wzory podawaliśmy na arkuszu wzorów.

Album wzorów do siatki możemy Pani wysłać — kosztuje koło 5 zł. Zbiór monogramów wydamy niebawem, będzie zawierał 700 monogramów różnej wielkości.

Nici D. M. C. białe i kolorowe dostanie Pani w firmie „Wegenko” Krucza 24.

Kwiat arum, o który Pani pyta przesadza się wtedy, gdy doniczka okaże się za mała t. j. korzenie wypełnią ją całkowicie! Ziemi potrzebuje palmowej czyli składającej się z wrzosowej, liściowej i darniowej, z trochę piasku cienkiego rzeczno. Stać powinien koniecznie w świetle, ale nie na słońcu, od ostrych bowiem jego promieni — traci liście.

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka,
wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkania 3.
Telefon 102-77.

P. H. J. z Oporowa.

Na letnie suknie śliczne są krepony bawełniane, w ładne barwne desenie, lub tak zwane płótno jedwabne kremowe w kolorowe pasy. Z płótna najodpowiedniejszy fason koszulkowy z kieszonkami i wąskim paskiem z kreponu. Fason rozszerzający się ku dołowi, lub z kloszową falbaną. Na suknię koszulkową trzeba tylko dwie długości materiału, na szerszą wystarczy 3 mt.

Pani E. Tn. z Łodzi.

Przy artretyzmie unika się pokarmów ciężko strawnych, mięsa i wędlin. Używać należy obficie jarzyn owoców i mleka. — Najważniejszym jest, aby zbyt nie obciążać załedka, dla tego dobrze jest wstawać zawsze trochę głodną od stołu.

Co do bliższych szczegółów dyety jako indywidualnych radziłabym Pani zwrócić się do lekarza. Droga do Vichy najbliższa i najtańsza prowadzi via: Praga Czeska Strassburg Belfort Lyon Vichy — W Warszawie wykupić można w biurze podróży „Orbis” bilet do Karlsruhe — gdzie w wagonie od konduktora dokupuje się bilet do Strassburga. Z Warszawy do Strassburga, łącznie z dokupionym — bilet kosztuje 2-gą klasą pośpiesznym 125 zł. Taki sam ze Strassburga do Vichy 80 zł. Pierwszą klasą 40% drożej, trzecią 40% taniej — Jedzie się z Warszawy do Pragi bez przesiedania — Z Pragi do Strassburga również, ze Strassburga do Vichy direct.

Pani M. Z. w Ciechocinku.

W pierwszych dniach lipca jako zwykle bardzo gorących, najwłaściwiej jest podać na podwieczorek zimne napoje, ciasta różne, owoce sezonowe i lody. Kawa biała dobrze w lodzie zastudzona czereśnie poziomki, truskawki i maliny, do nich zimna surowa śmietanka w małych garnuszkach cukier puder koniecznie osiany na kryształowych miseczkach, lody lemonjada lub lekki kruszon — drobne ciasteczka, domowa babka tort, a dla młodych taca eleganckich a smacznych kanapek. To jest bułeczek masłem smarowanych i nakładanych różnymi gatunkami wędlin i mięs — stanowić będą bardzo elegancki i solidny podwieczorek. — Nakrywa się stół serwetą haftowaną lub mereżowaną — w braku takiej, gładką, białą — serwetki koniecznie małe

talerzyki deserowe przy każdym nakryciu — oprócz nich w zapasie na gromadkach szklanne spodeczki do lodów i owoców — ciasta i drobne ciasteczka na kryształowych talerzach — owoce na kloszach i salaterkach. Między talerzykami kwiaty poukładane na obrusie pęczkami i gałązkami, koniecznie jednej barwy i gatunku, stanowić będą śliczną całość.

P. Lidji O.

Adres szkoły moniarstwa Hoża 21 Kałczyńska.

Pani Eugenji D. w Petlikowcach Starych.

Tylko jagody czarne, (na kresach czernicami zwane) dają zawsze dobry trunek przesypywane cukrem. Wszystkie inne jagody i przy wyrobie win przechodzą silną fermentację, przy której są narażone na zmienienie się w ocet. Jeżeli Pani chce robić wino z porzeczek, niech się Pani zwróci do Redakcji Gazety „Ogrodnik” Kredytowa 16 w Warszawie, gdzie Pani wskażą odpowiednią broszurę i nie odmówią jej wysłania.

* * *

Redakcja „Bluszczu” odpowiada stałym Czytelnikom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno a wobec wielkiego napływu listów nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu”.

Towarzystwo

Zawodowego Kształcenia Kobiet

Nowy-Swiat 72, pałac Staszica, lokal
Koła Polek, poleca na wyjazd letni:

**ZDOLNE KRAWCOWE, BIE-
LIŹNIARKI, OSOBY DO DZIE-
CI, DO REPERACJI i DO ZA-
RZĄDU DOMEM.**

Poniedziałki, środy, czwartki od 6-ej
do 8-ej. Telefon 140-61.

Opis sukien i robót do Nr. 23.

380. Kombinacja z toile de soie blado-różowego, haftowana czarnym i przybrana wążutką czarną wstążeczką.

381. Kombinacja z crêpe de chine'u, przybrana haftem i koronką.

382. Płaszcz kąpielowy z eponge'u lila z falistym kołnierzem.

383. Kostjum kąpielowy z ponsowego płócienka, przybrany białymi patkami i guzikami.

384. Kostjum kąpielowy z granatowej popeliny, przybrany pasem deseniowego kretonu.

385. Kostjum kąpielowy biały z ponsowem naszyciem.

386. Skromna sukienka z bawełny mersyzowanej w kratę. Przód i kołnierzyk gładkie.

387. Letni kostjum dla młodej panienki z popeliny popielatej i granatowej.

388. Fartuszek dla dziewczynki od lat 4 do 6 z kretonu w drobny deseni.

389. Fartuszek dla dziewczynki od lat 4 do 6 z satyny ponsowej, lamowany granatowem.

390. Letnie palto dla młodej panienki.

391. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 10 z kretonu gładkiego i w deseni.

392 i 393. Narożnik serwetki i motyw do powtarzania raz po raz, aby rysunkowi nadać dowolną długość.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skutecznieć na blankietach czekowych P. K. O.

Na arkuszu wzorów, dołączonym do dzisiejszego numeru znajdują nasze Czytelniczki trzy wzory do wycięcia serwetek papierowych, oraz wzór na abażur witrażowy.

Serwetki papierowe mogą być bardzo pożyteczne na wsi, na letnisku, gdzie się nie zabrało haftowanych serwetek, a zręcznie wycięte z białego papieru i podłożone pod ciastka, lub placek, będą ładną ozdobą stołu.

Abażur robi się witrażowym sposobem, wycinając deseni z podwójnego bristolu. Wierzch podkleja się bibułkami, podług wskazanych kolorów — potem całość kalką przezroczystą i nalepia się wycięty równocześnie spód. Kontury deseni mogą być pomalowane na czarno, lub też od razu można wycinać abażur z czarnej tekturki. Kawałek deseni oznaczony na rysunku rwaną linią trzeba wyciąć podwójnie i zlepować tak, aby deseni padał jeden na drugi, to jest jedyny sposób, aby się abażur w miejscu złączenia nie wykrzywił.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Nadesłane do Redakcji
(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

ZROZPACZONEJ. Tłustą cerę trzeba zmywać parę razy dziennie Pureolem, nasączonym na kawałek waty, co jednocześnie ochroni od tworzenia się węgry. Na drugie pytanie będzie odpowiedź w następnym numerze.

SYBILLI. Cerę prawidłowo pielęgnuje krem Abarid: wcierany w bardzo małej ilości na noc. Rano myć twarz ciepłą wodą i otąrkami abaridowemi bez mydła. Wychodząc z domu, bezwarunkowo zapudrować pudrem abaridowym, który ma szczególne własności higieniczne, chroniące od wpływów atmosferycznych.

MARJI Z. Pięgi, plamy nawet żółciowe usuwa natychmiast krem Precioza. Przeciw łupieżowi skrapiać głowę Tetralem, co ochroni jednocześnie od wypadania włosów.

ZOFJI B. Hella rozjaśnia włosy ciemne na piękny blond, zupełnie naturalny.

DO WSZYSTKICH. Środki tutaj zalecane mają na składzie: Perfumerja „Perfection” Szpitalna 10, w Krakowie Miklaszewski, pl. Dominikański; w Poznaniu, Zaremba ul. Pawła; w Sosnowcu Jagiełłowicz, w Wilnie Segali i Prużana.

M-me Er ced ès.

PORADY KOSMETYCZNE.

PANI W. K. Czasem wystarczy nawet pół buteleczki płynu „Petunia” dla usunięcia piegów. Po podrażnieniu tych posmarować kremem „Salome”.

PANI M. Z. Miejsca pokryte wargami i wyrzutami myć proszkiem alkalicznym i antyseptycznym „Sveno”. Dostanie Pani gładką i równą cerę. Dobrze użyć po tem krem „Diana”.

KRAKOWIANCE. Głowę smarować co 2—3 dni ang. płynem Bisare. Radykalny środek od łupieżu i wypadania włosów. Myć przytem w wodzie letniej płynnym mydłem roślinnym „Pinol” co tydzień.

POWAZNEJ. Nie można nie używać. Wszystko musi być pielęgnowane nawet cera. Zmarszki lekko rozprowadzać kremem „Salome”.

Listy proszę adresować Skrzynka poczt. 594 na odp. marki 30 gr. załączać.

Roemer.